№ 3. Warszawa, dnia 8 (20) Stycznia 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru: O wpływie działalności kobiecej (dokończenie). — Chmura (wiersz). — Zaklęta księżniczka, nowella przez J. I. Kraszewskiego (dalszy ciąg). — Korespondencya zagraniczna z Monachium. — Wrażenia z podróży po Szwecyi i Norwegji, przez Alberta Vandal (dalszy ciąg). — Przegląd literacki. **W dodatku:** Zbrodnia w Green-Lodge, naśladowanie z powieści Miss H. Wood przekład z angielskiego (dalszy ciąg).

O WPŁYWIE DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

(Dokończenie).

Gdy usłyszycie surowe sądy przeszłości z któremi tak często spotkać się można: gdy drwiące lekceważenie zadrażni wasze najdelikatniejsze uczucia; gdy usłyszycie zaprzeczenie wszystkiego co święte i tak przez was czczone, mówcie tym śmiałym lecz nierozważonym zapaleńcom, że żadna czynność ludzkości nie może być doskonała, że błądząc dążyła do prawdy, ofiarą zdobywała doświadczenie z którego zbieramy owoce, i że wreszcie w drodze życia swego zbaczając na manowce posiadała zawsze choćby szczupłe gronko mężów, którzy jej fałszywość kierunku wykazując starali się namową i przykładem wydobyć z obłąkania. Na takich nigdy nie zbywało, a choć głos ich przebrzmiał często bez echa, zawsze jednostki takie wyskakujące nad poziom społeczny, są wyrazem usposobienia ogólnego, przedstawicielami prawdy i dobra rozbitych na drobne cząsteczki i zamkniętych w sercach wszystkich. Ogół zatem był zawsze złym i dobrym zarazem, względnie do swego czasu, do okoliczności, do przyczyn na niego działających i takim jest dzisiaj i takim może na zawsze pozostanie. Oceniać jego pracę społeczną według pojęć obecnych jest błędem i wielką niesprawiedliwością: historyków nawet uczonych dopuszczających się go nazywamy bajarzami. Wszystko ma swoją przyczynę, jest to hasło prawdziwych pozytywistów których z warszawskimi łączyć nie należy. Zasada ta znana była od wieków a umysły jej poświęcone wiedzą aż nadto dobrze, że w tym wielkim łańcuchu skutków i przyczyn kutych pracą powszechną, ani jednego ogniwa wyłączyć niemożna, a cóż dopiero chcieć go zupełnie odrzucić i skazać na zatracenie. Pragnący tego byłby podobnym do szaleńca, któryby chciał wyrwać serce z piersi z tą pewnością że żyć będzie bez cierpień którem ulega.

Ludzkość oprócz urządzeń społecznych i pracy czysto materyalnemu dobrobytowi poświęconej, wyrabiała jeszcze w dziedzinie ducha podstawy odpowiednie dwoistej naturze człowieka: religię i moralność. Dwa te czynniki stały się, że się tak wyrazimy, jedynem uczłowieczeniem ludzkości, cementem spajającym jednostki w jedną rodzinę, hamulcem dzikich popędów, rękojmią ogólnego bezpieczeństwa. Jeżeli nie spełniły w zupełności swego zadania, jeżeli to braterstwo rodzinne nie jest rozwinięte jak należy, jeżeli dzikie popędy przerażają jeszcze a bezpieczeństwo często jest naruszane, nie ich to wina ale braku należytego ugruntowania tego czego nauczają. Szanować je prosty rozsądek nakazuje choćby tylko były piękną hypotezą, jak to głoszą w zarozumieniu swem niektórzy nowatorowie. Bez tych dwóch czynników, mówiąc językiem nowej filozofii, cóżby się stało z ludzkością, mającą w nich jedyną ucieczkę tajemniczej niepewności przyszłej swej doli, gdybyśmy je sponiewierawszy zniszczyli do szczętu.

Gdy ich nie było, ludzkość jaka wówczas żyła, była zwierzętami nie ludźmi i ślad jej tu pozostał tylko w szczątkach kości tak jak ze zwierząt jej współczesnych. Czyżbyśmy stan ten uważać mieli za błogosławiony i pragnąć jego powrotu?

W miarę zdobywania wyobrażeń religijnych jakkolwiek błędnych i pełnych dziwactwa, zawsze jednak obejmujących jądro prawdy, ludzkość zaczęła wchodzić na drogę rozwoju historycznego czyli pokazywać że się uczłowiecza, że godność swą zaczyna pojmować i sięgać myślą po za granice dla zwierząt niedostępne. Wyrób cywilizacyi greckiej i rzymskiej dziś jeszcze zdumiewającej, był następstwem tej pracy społecznej podtrzymywanej mitologią czyli religią i płynącą z niej moralnością, która dopóki jaśniała w całej pełni swego blasku w sercach większości, dopóty ludzkość ówczasowa coraz większym czynom dawała życie. Ze zniszczeniem jej i sponiewieraniem rozstrój wdarł się wszędzie, ludzkość rozpadła się na jednostki, samolubstwo zapanowało, rozpacz ogarnęła wszystkich i światu zagroziła ruina czyli powrót do pierwiastkowej dzikości. Filozofowie, uczeni, mędrcy znając przyczynę tego ogólnego upadku, zapragnęli stworzyć nową religią i moralność, powołali podania wszystkich ludów, zebrali księgi mędrców całej przeszłości, zaprzęgli więc do pracy wszystkie wieki i całą obecność i po przeszło wiekowej usilnej pracy, cóż dali ludziom? Oto różne systemata filozoficzne, dość przystępne dla niektórych, ciemne dla ogółu, rozwijające bardzo mądre dowodzenia ale niezaspakajającego nikogo pod względem tajemniczych przeznaczeń ludzkości, nawet twórców teoryi uważanych za rozkwit rozumu ludzkiego. Religia i płynąca z niej moralność nie zostały utworzone, dawna runęła bezpowrotnie, nowa nie mogła powstać a ludzkość coraz bardziej grzęznąc w zwątpieniu o wszystkiem, szamotała się w rozpaczy dochodzącej do ogólnego szaleństwa.

Cóż ją wybawiło z tego strasznego stanu pędzącego wszystkich jak dziką trzodę do przepaści, uciekającą przed pożarem tuż za nią szerzącym się?

Oto słowo ewanieliczne ogłoszone przez Dzieciątko urodzone w ubogiej stajence w pośród maluczkich i ubogich, które wyrosłszy na Człowieka naukami swemi zdumiewało mędrców.

Wyszydzony, oplwany, zbeszczeszczony na Golgocie oddał świadectwo prawdzie, świat ukorzył się przed jej potęgą, i słowo zwyciężyło.

Jakże więc tak potężny głos, który przez dziewiętnaście prawie wieków, ciągle brzmiąc swoją wielkością, płynąc bez przerwy, rozszerza się coraz bardziej, wciska się w coraz dalsze krańce ziemi, dzicz oprzytomnia, błądzących objaśnia, wątpiących krzepi, upadłych ożywia, prześladowanych broni od rozpaczy, nieszczęśliwych pociesza, jakże więc głos ten tak cudowny w swoich skutkach, gdybyśmy nawet odrzucili jak pragną niektórzy wszystki

dogmatyczne przywiązane do niego przekonania, można lekceważyć i na nicość skazywać? Jeszcze on posłannictwa swego w zupełności nie spełnił, część dopiero ludzkości ulega jego mądrości i ta wyrabia postęp, reszta większa czeka dopiero jego przyjęcia zastygła w działalności jak owad w żywicznej cieczy.

Przyciszajmy tylko wrzawę co go zagłuszyć pragnie, wybierajmy jedynie poświęconych do jego pielęgnowania i szerzenia, a głos ten jak był zbawczym dla ludzkości, takim na zawsze pozostanie.

Kto mu odmawia, mówiąc czysto po ludzku, tego pożytku społecznego, niech innym odezwie się do świata ale jeszcze większą nacechowanym świętością, bo to jedynie usprawiedliwićby mogło nowatorstwo. Powiadają, że praca w tym kierunku rozpoczęta; bardzo dobrze, nie mamy nic przeciw temu, ale dopóki jej nie wykończycie, dopóki ogłoszona nie wsiąknie w ogół, nie burzcie tego czem się dziś rządzi, a nawet szanujcie to co jest, bo inaczej staniecie się podobnymi do gospodarza, któryby zniszczył dom mieszkalny jedynie dla tego, że ma ideę nowego budynku mającego się dopiero postawić. Praktyka osądzi gdzie większa prawda się mieści, czy w waszem mającem dopiero powstać dziele, czy w owem Słowie idącem przez wieki nazwanem świętem i jak świętość czczonem i ogłaszanem.

Dowodzenia podobne jakie tu przedstawiliśmy okraszone i rozszerzone waszym rozsądkiem zacne moje Czytelniczki, powtarzajcie wszędzie przy każdej sposobności, a spełnicie obowiązek kobiet obywatelek.

Podstawą społecznego dobrobytu jest ogół a raczej najliczniejsza jego warstwa która jest tem czem są liście na drzewie. Oberwij je a drzewo uschnie, choćby gęste i liczne miało konary, choćby wierzchołkiem po nad las wybiegało. One to ciągną z powietrza pożywne dla drzewa gazy, przerabiają je, trawią i przy ich jedynie pomocy drzewa rosną w pień, w gałęzie, kwitną i owocują. Nad liściem na drzewie lub krzewie troskliwie czuwa ogrodnik, oczyszcza go, obmywa, uwalnia z narośli i pasożytów i stara się utrzymać w należytej działalności nie lekceważąc ani jednego. Nad liściem społecznym czyli nad najliczniejszą warstwą narodu, czuwać winna ta co wyżej nad nią stoi.

Pieczą tą ogrodniczą w społeczności jest oświata, przenikająca wszystkie zakątki choćby najciemniejsze. Wnosić ją i rozszerzać to obowiązek niemal nad wszystkiemi stojący górą, któż tu większe rozwinąć może działanie, jeżeli nie kobieta szczególniej dziewica wolna jeszcze od kłopotów domowego zajęcia? Jak to spełniać należy, czyż mówić potrzeba?

Czytanie jeszcze u nas w warstwie najliczniejszej mało upowszechnione, środki nawet do korzystania z niego niewielu są udziałem. Obudzać zamiłowanie czytania, przysposabiać mogących z niego korzystać, to też praca wielkiej doniosłości. Kobieta poświęcająca się jej, spełnia prawdziwie obywatelską posługę; ocuca śpiącą duszę i przysparza społeczności członka nie biernego ale czynnego, mogącego nawet stać się jej zaszczytem. Nie zapominajmy bowiem, że talenta a nawet zdolności większe są to jakby cienkie niteczki pajęcze, które w połączeniu dźwigają jednak całą społeczność ku wyżynom postępu. Im więcej ich, tym podnoszenie to szybsze i raźniejsze, im mniej tym powolniejsze, i niezdarniejsze. Talenta owe i zdolności tak zbawienne w swoim wpływie, Opatrzność rozsypała pomiędzy ludźmi bez względu na podziały zamożnością zakreślone. Nieraz syn najuboższego nędzarza, cieszy się większem mysłowem usposobieniem niż panicz wśród przepychu wyrosły. Jest to prawda dowodzenia nie potrzebująca i nie ma prawie zawodu, do któregoby uzdolnienia nie znalazły się w klasie roboczej, zwykle marniejące z wielką ogólną szkodą. Do zużytkowania ich właściwego posługuje jedynie oświata, gdy ta jednostki owej nie otoczy skrzydłami opieki, zdolność nawet wielka nie wydobędzie się na wierzch i tylko czynnościami swemi będzie wydawać świadectwo, niedbałości w jakiej ją pozostawiono.

W jakiej warstwie społecznej najwięcej zjawia się jednostek zwanych talentami, nie będziemy się nad tem zastanawiali; zdaje się tylko, że z pomiędzy tysięcy zawsze ich mniej może przybywać jak z pośród milionów. Jeżeli zatem te miliony darzone jak biedne sieroty tylko okruchami opieki złej szafarki, żyją w zupełnej ciemnicy umysłowej, to i wyrastające w pośród nich talenta, giną bez śladu.

Marnotrawstwo to przerażające: społeczność dopuszczająca się go, podobną jest do gospodarza, któryby małą cząstkę gruntu uprawiając, obszary zostawiał odłogiem. Może on i tak żyć a nawet dosyć znośnie, ale czy może być pewnym, że w tej zaniedbanej przestrzeni nie wylęgnie się jakie plugastwo, jaka zaraza co go pochłonie.

Oto w krótkości i w streszczeniu niezmiernie ograniczonem przedstawiony wpływ kobiecej działalności, jako pracownicy bez rozgłosu a jednak wielkiej doniosłości. Pojęcie to i obowiązki z niego wypływające nie są tak upowszechnione jakby życzyć należało, więc je rozszerzajcie i skłaniajcie do nich te, co nie wiedząc z sobą i czasem co robić, kwaszą się, nudzą, wzdychają i narzekają na świat i ludzi. Będzie to także praca niemałej wagi, bo im więcej rąk tym wszystko sporzej idzie, a im więcej głów rozumnych, tym kierunek dzielniejszy.

W Szwecyi kobiety głównie zajmują się nauką maluczkich: kiedy zrozumiano znaczenie ogólnej oświaty i niezbędność jej rozwinięcia, zwrócono się do kobiet i te nie zawiodły położonego w sobie zaufania. Dziś Szwecya zamożna, oświecona i bezpieczna, szczęście swoje zawdzięcza kobietom.

J. K. G.

CHMURA.

Ze zbioru poezyi filozoficznych pani L. Ackermann.

Wznieście oczy! nad wami przepływam w lazury,
Przezroczysta i lekka na obłocznych szczytach;
Skrzydła moje na ziemię rzucają cień bury,
A ja kąpię się, pławię, w eteru błękitach.

Jako miraż błądzący, wznoszę się, przemijam,
Malowana wieczoru barwą lub jutrzenki;
Nadpowietrzne zwierciadło, w przelocie odbijam
Tak zmienne, tak czarowne uśmiechu dnia wdzięki.

Słońce na widnokręgu krańcach gorejące,
Gdy gasnąc na mnie spojrzy, snopy swe ogniste,
Strzały swe, na szkarłatach zachodu lecące,
Topiąc we mnie, wyzłaca me łono przejrzyste.

A gdy księżyc wymija lśniących gwiazd legiony,
Rzucając na świat senny tęskne swe wejrzenia,
Czoło jego otulam w mgliste me osłony,
Lub okrywam je tylko rąbkiem ich półcienia.

Nagle powstaje zamęt... zda się floty toną...
Gdy huragan pędzący przez powietrzne światy,
Na moje zasępione i zczerniałe łono,
Wskakuje wściekłym zrzutem, jak żeglarz skrzydlaty.

Zwodzę boje w eterach; na ich wysokościach
Zwaliska i śmierć siejąc, ja bujam swobodnie,
Ciskam grady niszczące i w moich wnętrznościach
Pioruny zapalają swe krwawe pochodnie.

Uspakajam się, ziemię skrapiają me deszcze,
Uśmiecha się spragniona; w mem ręku jej losy:
Gdy ja zechce, jej niwy ożywię, wypieszczę,
I dla ludzkości ziarnem wypełnię jej kłosy.

Gdzie przemknę, wszystko rośnie i w listki się wiąże,
Łąki błyszczą szafiru i barwą szkarłatu;
Jestem wodą i płynę; jestem sokiem, krążę;
Wdzięcznie szemrząc w strumyku, cicha w łonie kwiatu.

Jeśli spadam na rzekę, porywa mię, płynę
Społem z nią, jak ożywcza arterya wśród lądu;
Po bezbrzeżnych równinach toczę nurty sine,
Albo grzmią gór przepaście szumem mego prądu.

I nic mię nie powstrzyma!... biegiem rozszalała
Coraz bardziej namiętnym pędzona pragnieniem,
Spieszę do mego celu, jak z cięciwy strzała,
Puszczona niewidzialnej potęgi ramieniem.

Oceanie! mój ojcze! dziecię twe przybywa!
Twoje groźne odmęty hukiem mi odrzekły,
Piętrząc się płyną ku mnie, fala ma trwożliwa
Cofnęła się na wybuch powitań tak wściekły.

W łożysku twej bezdennej, ryczącej otchłani,
Czy to piasek nadbrzeżny, czy skała stercząca,
Pociągiem nieprzepartym w jedno ciało zlani,
Pospołu wyprawiamy igrzyska bez końca.

Lecz gdy swem pysznem okiem spojrzy na cię słońce,
I dojrzy mnie rozlaną wśród twojej głębiny,
Ledwie muśnie promieniem me czoło błyszczące,
Już muszę znów wzlatywać w powietrzne krainy.

A więc nie ma wytchnienia?.. Nie!.. Materya wszelka
Na jedną chwilę w martwy spokój nie zapada;
Nieznużona Przyroda, pracownica wielka,
Wszystkie swe dzieła niszczy i znowu je składa.

Wszystko przekształca ciągle w dłoniach nieśmiertelnych,
Czy w głębiach oceanów, czy lądów poziomu;
Wszędzie ruch, wszędzie życie w objawach swych dzielnych
I w nieustannym wirze wśród światów ogromu.

H. K.

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Mecenas, stara gosposia, dwie panienki, poszły zaraz oglądać mieszkanie całe, w którem nawet o kwiatkach nie zapomniano i o bukiecie na stole. Herbata była gotową. Brakło tylko jednego jeszcze gościa, który nietylko miał pozwolenie przybycia, ale był nawet proszony.

Tym był — jak domyślić się łatwo — pan Emil Drażak, przynoszący z wesołą i rozpromienioną twarzą jeszcze jeden bukiet. Przywitano go milcząco ale serdecznie, po twarzach wszystkich przytomnych poznać było można uczucia, jakich doznawali. Do

radości mieszała się nieopisana jakaś obawa, znajdowali się w położeniu tak dla siebie nowem, tak niemal uroczystem, bo zwiastującem nową życia epokę, iż nawet Mecenas, chłodny zwykle, teraz widocznie był poruszony. Panna Tekla drżąca, miała na oczach łzy — Marysia chodziła pomieszana — jedna staruszka czuła się tembardziej w obowiązku rozweselania swych gości i dodawania im otuchy. Ale jej szczebiotanie serdeczne, żadnego nie uczyniło wrażenia.

Pokazywała coś ciągle nowego o czem Mecenas pomyślał, co mogło pannie Tekli uczynić przyjemność a przydać się na nowe gospodarstwo.

Dla panny Marysi też był przysposobiony pokoik oddzielny, bo miała opuszczając dawną pensyę i zostając z przyjaciołką, zdać egzamina w innym instytucie, gdzie jej Mecenas przyrzekł być pomocą do uzyskania patentu.

Całe życie spędziwszy z obcemi i w gościnie, po raz pierwszy sierota znajdowała się jakby w domu własnym, u siebie i doznawała dziwnego uczucia. Czegoś jej w nim brakło — kogoś niedostawało! macierzyńskiego uścisku... rodzicielskiej miłości. Mimowolnie przed oczyma jej stawali ci tajemniczy rodzice — ten jakiś nieznany ich dom — te niedoścignione skarby życia w kółku rodzinnem, którego nie znała. Oczy miała łez pełne. Drażak, który przy niej usiadł na kanapie, patrzał, odgadywał może co się w jej duszy działo, i starał rozerwać i pocieszyć.

Borusławski dał się na herbatę zaprosić, Żywaczyńska ku niemu głównie zwróciła całą swą pieczołowitość. Staruszka i przed nim chwaliła się swem dziełem... pięknym obrazkiem mieszkania, wdzięczną powierzchownością jaką pokoikom nadała, wszystkiem, nawet lśniącym samowarem nowym, błyszczącemi filiżankami i atlasową bielizną. Za wszystko to kazała Mecenasowi dziękować, który się coraz bardziej mieszał, ale w końcu w śmiech to musiał obrócić.

Gosposię posadzono na pierwszem miejscu, a obok niej Drażaka i Mecenasa, przy którym Żywaczyńska kazała usiąść Marysi. Po cichu wszystkim w uszy kładła staruszka aby starali się być weseli, bo łzy w oczach nie uszły jej wejrzenia. Mecenas posłuszny żartami usiłował ją rozruszać, ale z trudnością udawało mu się uśmiech wywołać, na strwożoną twarzyczkę sieroty i spoważniałe lice narzeczonego. Marysia też była zadumana.

Panna Tekla wstała wkrótce, prosząc staruszki aby się jej dała wyręczyć, zajmując herbatą i poprobować czy sobie radę dać potrafi. Zgodziła się na to Żywaczyńska, przeczuwszy że to najlepiej biedną gosposię rozerwać potrafi. Emil też wziął się do posługiwania i wyręczania służącej, a ten ruch jakoś lepiej poskutkował niż wszystko i trwoga, która ogarnęła ich w progu tego domu, zwolna się rozeszła.

Rzepczakówna niewielką była pomocą, bo i ona czuła się przejętą tem usposobieniem dziwnem, niewytłomaczonem, którem ją Tekla zaraziła. Przytomniejsza jednak i więcej doświadczona, panna Marysia przezwyciężyła się łatwiej zmuszając do wesołości i wprost przypuściła szturm do Mecenasa.

— Niech się pan nie dziwuje Tekluni, odezwała się do niego, że tak jakoś z bojaźnią i na pół smutna przestąpiła próg tego domu. Myśmy obie wprost z pensyi, więc naturalnie trwożliwe i pierzchliwe.

— A pani także? odparł Mecenas. Marysia w oczy mu spojrzała ze śmiechem.

— No — ja — panie Mecenasie — ja znowu tak bardzo lada czem się nie trwożę — bom do wielu rzeczy nawykła... tylko ta Tekluni trwoga i pomieszanie — były zaraźliwe, ale — to przejdzie..• Jam się wychowała w ubóstwie, a ono wiele uczy i oducza.

Borusławski patrzał na sąsiadkę z wielkiem zajęciem — co Żywaczyńska pochwyciwszy zdaleka pokiwała zaraz głową znacząco.

— Pani jesteś Warszawianką? odezwał się Mecenas mocno zdając się zainteresowany panną Marysią.

— Spodziewam się że nią jestem!! roześmiało się dziewczę. Pierwsze moje lata spędziłam bawiąc się w rynsztoku na dziedzińcu. Nie taję się z tem, żem i dużo talerzy natłukła, nim mi się udało rozpocząć drzeć książki. Ojciec mój ubogi — długo latałam boso... dziś patrząc na przyzwoitą panienkę, sama sobie się wydziwić nie mogę, tak mi w teraźniejszości trudno poznać przeszłość moją.

— Tem chlubniej jeśli to pani winnaś sama sobie — odparł Mecenas.

Żywaczyńska stała za krzesłami, przysłuchując się rozmowie ciekawie.

— Sobie — to prawda, winnam trochę, ale daleko więcej poczciwemu ojcu, który mi pozwolił się uczyć — gdy mu daleko byłam potrzebniejszą do usługi, niż...

— A ojciec pani żyje? pytał Borusławski.

— Dzięki Bogu, żyw i zdrów, mówiło dziewczę.

Otwartością swą, swobodą i śmiałością, Marysia mocno zajęła starego Mecenasa—on też choć brzydki i niemłody, bardzo jej się podobał, miał w sobie coś sympatycznego. Siedzieli przy sobie i bawili się wyśmienicie wieczór cały, a Żywaczyńska ciche nad tem czyniła komentarze.

Nie przeciągnęła się jednak długo herbata, bo Mecenas czuł potrzebę uwolnienia od siebie i gościa i młodej gospodyni — pożegnał ją a Emil uznał też przyzwoitem nie bawiąc dłużej, wyjść z nim razem.

Dwie przyjaciołki zostawszy same, rzuciły się sobie w objęcia, a Tekla, wracając do pierwszego usposobienia, rozpłakała się.

— Nigdym temu nie wierzyła, ażeby można płakać z radości — odezwała się Marysia—dziś dopiero przekonywam się że to możliwe i że wielkie szczęście ma też łzy swoje.

A po chwili — dodała:

— Czegoż ci braknie Tekluniu? masz wszystko czego tylko mogłaś zapragnąć — spełnia się to o czem marzyłaś — jesteś w progu szczęścia twojego z wybranym przez ciebie... czegóż płaczesz?

— Płaczę — a! płaczę — zawołała sierota może sama nie wiem czego może pragnąć za nadto? Ale nigdy, nigdy jak dziś nie uczułam się sierotą, opuszczoną, bez rodziny. Gdyby Bóg nie dał mi jej całkiem, nie wiem — możebym to łatwiej przecierpiała — ale czuć się tak odrzuconą, zapartą — dzieckiem bez imienia, do którego przyznać się nie chcą — nie śmieją — wstydzą — nad którem tylko czuwa miłosierdzie zdaleka... a miłość się zbliżyć nie śmie — a! Marysiu — to okropnie! to upokarzające...

Lękam się aby myśl ta kiedyś nie obudziła Emila — aby nie poczuł żem ja go nie była godną.

Tekla się rozpłakała, a przyjaciołka oburzyła.

— A! nie plećże niedorzeczności — zawołała — miałabym Emila za... niepowiem kogo — gdyby ciebie nie kochał, dla tego że mu się z herbów wywieść nie możesz!!

Rozmowa o tem i o wielu innych rzeczach przeciągnęła się do późna. Żywaczyńska także nie spała długo. Do słabostek staruszki należało swatanie: od pierwszej chwili, gdy zobaczyła Mecenasa żywo zajętego Marysią, przyszło jej na myśl ożenić go Z tem marzeniem poszła do poduszki.

Nazajutrz, pamiętając na łzy Teklusi i zastanowiwszy się nad położeniem sieroty, którą znowu znalazła smutną, poczciwa staruszka na lekarstwo wynalazła mnóstwo roboty.

Okazało się do wyprawy przyszłej mnóstwo pokupowanych rzeczy, które jeszcze kobiecej ręki i pracy potrzebowały. Dwie panny zarzuciła gałgankami, a Marysię poczęła najzabawniej drażnić Mecenasem... co pobudzało do serdecznego śmiechu.

Najulubieńszym przedmiotem rozmowy dla niej był zawsze Mecenas ten, dla którego miała rodzaj czci i poszanowania, wyrażającego się największym entuzyazmem. Zdawało się jej że tę cześć cały świat winien mu był oddawać.

— Panna Tekla go zna dawno, mówiła, ale tak go jednak znać nie może jak ja, co od dawnych lat dzień w dzień na niego patrzę. Co to za serce, a co to za głowa!! I że to — proszę panien — (tu spojrzała na Marysię znacząco) żadna kobieta nie była tak szczęśliwą ażeby mu się podobała!

Marysia poczęła się śmiać przypominając sobie rudą peruczkę i zwiędłą twarz.

— Czego się panna Maryanna śmieje? przerwała Żywaczyńska — jak mi Bóg miły — kobieta którą by on wziął za żonę, byłaby najszczęśliwszą w świecie.

— Ależ stary... i nie myśli się żenić! zawołała Tekla.

— Jaki stary! jaki stary! może i pięćdziesięciu lat nie ma - a co pięćdziesiąt lat dla mężczyzny. Wcale przyjemny... a na perukę tę tam nie ma co zważać. Zresztą co znaczy wiek, gdzie takie serce złote... a złote! O nim nikt nie wie w świecie co on dobrego czyni. Jego nawet żebracy wszyscy tu znają i lgną do niego — a on im wszystkim dopomaga.

Może panny widziały przed Dominikanami tego okropnego dziada na czółenkach, bez nóg... No — ktoby to drugi, pozwalał takiemu dziadowi do siebie chodzić i czasem całemi godzinami z sobą gadać, a kawęczyć. Już ci tam taki dziad interesów mieć nie może, a Mecenas go bawi przez miłość bliźniego. Razem go się aż spytała, co pan Mecenas może mieć do czynienia z tym dziadem... a on mi na to (to są jego własne słowa). Daję mu jałmużnę kilku serdecznych wyrazów, o to trudniej jak o groszaka, moja jejmość.

Takiemi opowiadaniami zabawiała panienki pani Żywaczyńska.

Umówionem było że pan Emil, zamiast nadal się stołować u Rzepczaka, miał na obiady do narzeczonej przychodzić, były to jego godziny wyznaczone. Wieczorami wolno mu tylko było z Mecenasem razem przychodzić na herbatę, tak postanowił Borusławski.

Wprost z biura nazajutrz przybiegł Drażak na Długą ulicę. Staraniem Żywaczyńskiej, która się na kuchni nieźle znała, obiad był o lepsze walczyć mogący z Filipowiczowskim i restauracyjnym.

Pierwszy też raz panna Tekla, widząc krzątającą się po domu starą kobiecinę — postrzegła, że wielu rzeczy na pensyi się wyuczywszy, około domu wcale by sobie nie umiała dać rady.

Wyznała to otwarcie przed Żywaczyńską.

— A to się trzeba uczyć — odparła rękami poklaskując staruszka — bo jak się, moja dobrodziejko, na kucharki i sługi zechcesz spuszczać, to źle będzie i w woreczku i w domeczku.

Obie tedy dziewczęta od igiełki wzięły się do nauki gospodarstwa. Emil przyszedłszy któregoś dnia, zastał je z przypasanemi fartuszkami i w wybornym humorze. Tekla podała mu rękę, ukazując że ją zabrukała w kuchni, co pocałunkowi nie przeszkodziło, Marysia pobiegła się umyć.

Przy stole mowa była o gospodarstwie, a Żywa-

czyńska utrzymała ją na tym wielce prozaicznym przedmiocie.

Tego dnia, dopiero po kawie, narzeczeni na chwilę zostali w saloniku sami z sobą, podczas gdy Marysię staruszka w drugim pokoju, karmiła pochwałami Mecenasa.

Miłość tych dwojga młodych ludzi, nieco była dziwną. Bardzo mało dotąd bliżej się z sobą widywali. Patrzeli na siebie w początku, pisywali potem — spotykali rzadko, krótko — trwożnie, znali się więc i nie znali — a teraz, gdy im wolno było swobodnie myśli zamieniać, znajdowali w sobie nowe niemal istoty — z ideałów zmienione w rzeczywiste.

Oboje z ciekawością dziecięcą i obawą — badali siebie, lękając czegoś niespodzianego, coby obraz stworzony przez wyobraźnię, w sercu wypieszczony, zaćmiło.

Są jednak przeczucia wieszcze — a twarze mówią wiele. Ani Emil, ani Tekla nie znaleźli dotąd w sobie tej nuty dysharmonijnej, której się lękali. Owszem, Emil w niej widział, odkrywał co chwila więcej niż mógł marzyć, ona też cudownie się z nim godziła w pojęciach o życiu.

Ubóstwo ich nie trwożyło, Drażak wielką miał ufność w pracy, Tekla ją podzielała z zapałem. Ze swej strony, gotową była do niej — nie wzdragała się żadnej.

Dnia tego serca się ich wylały.

— Wiesz pan — odezwała się Tekla, jak dziwne jest położenie moje. Mam opiekuna... mam kogoś co czuwa nade mną, a nie znam rodziców moich. Tajemnica czarna otaczała mnie od kolebki. Ludzie po za nią domyślali się czegoś nadzwyczaj świetnego, dla mnie ona była upokorzeniem i boleścią — wolałabym najpospolitszą prawdę niż największej obiecującą niepewność i mroki.

Emil także nie miał rodziny, oprócz dalekich i zobojętniałych krewnych — był więc równie prawie sierotą, a wszystkie czarne myśli swej narzeczonej, która do nich zbyt często powracała, starał się rozpędzić, dowodząc że we dwoje starczą sobie za świat i rodzinę.

Po obiedzie gdy Emil się do biura oddalił — nadszedł troskliwy Borusławski, niosąc jeszcze regestr rzeczy, które do wyprawy przybyć miały. W istocie może chciał zobaczyć co tu się działo, i czy pierwsze owe smutki i chmury się rozeszły.

Marysia powitała go w progu, jak starego, dobrego znajomego... Żywaczyńska nadbiegła z twarzą dosyć wesołą... Otoczono Borusławskiego staraniami, pieszczotami niemal, szczebiotaniem i śmiechem, zarzucono go pytaniami, a stary Mecenas ożywił się bardzo. Trudno mu nawet było zwrócić się do poważniejszych spraw, o których pomówić pragnął.

Przynosił wiadomości, że z ukończeniem kwartału, do ślubu wszystko będzie gotowem, i—wesele odbyć się może... Papiery, na które, jak mówił, dotąd oczekiwano — niezawodnie już przybyć miały. Cały plan nawet skromnego wesela był ułożony zawczasu.

— Ponieważ to parafia Dominikanów, wtrącił Mecenas, ślub się odbędzie w ich kościele...

Uderzyło Teklę, że ten kościół zawsze w jej życiu, tak ważną odgrywał rolę — nic jednak nie odpowiedziała — z kościoła prosto, mieli państwo młodzi udać się do nowego pomieszkania, które Drażak już najął zawczasu.

Za świadków postanowiono prosić państwa Filipowiczów, a Emil ze swej strony, nie mając nikogo bliższego, miał wezwać Radzcę Hustakiewicza i profesora Dygalskiego. Drużką jedną miała być naturalnie Marysia, drugą z pensyi także przyjaciółka...

Gdy sami zostali, Borusławski dodał po namyśle:

— Niech się panna Tekla nie dziwi gdy jej objawię trochę dziwaczne życzenie osoby — która ma prawo wymagać od niej pewnej powolności... za to wszystko co czyniła i czyni.

— Zrobię, co mi tylko każecie... szybko odparła Tekla.

— Choćby to było i trochę niemiłem do spełnienia? spytał Borusławski.

— Ale mów pan, proszę — spełnię rozkaz z obowiązku jakikolwiek on będzie.

— Oto, życzą sobie — odezwał się Mecenas — abyś panna Tekla do ślubu szła pieszo. Nie jest to daleko do kościoła, a, kazano mi ją prosić, abyś, po drodze. wedle starego polskiego obyczaju, prosiła wszystkie osoby jakie tylko spotkasz, o błogosławieństwo... niewyjmując nikogo...

Nikogo, powtórzył Mecenas z przyciskiem.

— Ale, w ulicy, panie Mecenasie — odezwała się Tekla — czyż to będzie możliwem, czy się nie stanie śmiesznem? Niepodobna zatrzymywać...

— Za pozwoleniem — rzekł Mecenas zwolna — od pani się więcej nie wymaga nad to co możliwe. Nie zatrzymamy po drodze dorożki, ani ekwipaża, ale przechodnie, ci co się nastręczą, a tych pani bez wyjątku wszystkich będziesz prosić o błogosławieństwo.

I znowu powtórzył dobitnie.

— Wszystkich, bez wyjątku.

— Spełnię co mi każecie — odezwała się Tekla— lecz, naturalnie — pan Emil o tem musi wiedzieć.

— A dla czegóż nie? zapewne — odezwał się Mecenas.

Tłomaczyć sobie życzenie objawione pannie Tekli można było i starym zwyczajem i ważnością jaką zwykle przywiązują do błogosławieństwa—niemniej jednak wykonanie zdawało się drażliwem i trudnem.

Nazajutrz dowiedział się o tem pan Emil — ale, nie miał nic przeciw staremu obyczajowi. Marysia, przed którą też przyjaciółka nie czyniła tajemnic— zadumała się długo.

— Mów ty sobie co chcesz, odezwała się przebiegła dziewczyna — a ja w tem widzę coś więcej, niż zachowanie starego zwyczaju... Oto — ja nie wiem — rodzice, ojciec czy matka — bo nie wiem kogo masz — nie mogąc ci pobłogosławić jawnie, zapewne użyli tego środka, aby ci dać błogosławieństwo, nie zdradzając się. Ten twój „ktoś“ stanie na drodze, a ty przed nim głowę uchylić będziesz musiała.

Myśl ta, bardzo trafna, uderzyła Teklę, wydała się jej cudowną.

Odtąd dzień wesela, stał się dla niej pożądańszym jeszcze. Obiecywała sobie, zwracać uwagę najpilniejszą na osoby spotkane, a serce dziecięce—wskazać jej miało rodziców — ojca czy matkę.

W kilka dni potem z tą myślą Marysi, panna Tekla odkryła się Mecenasowi, który bystro spojrzał zdziwiony na Rzepczakównę, głową potrząsł i rzekł jakoś zakłopotany.

— Nie wiem. Może być. Ja nie wiem nic.

Spojrzenie rzucone na Marysię, było jakby wymówką, że się z tem wypaplała. Ale Maryś, starego Mecenasa, z którym się zupełnie oswoiła, wcale się już nie lękała.

— Widzi, pan Mecenas, rzekła mu pocichu, że ja nie jestem tak głupią dzieweczką, jak się panu zdawało.

— Ale mnie się to nigdy nie zdawało — odparł Borusławski — przeciwnie, byłem zawsze przekonanym żeś pani aż nadto rozumną, i, gdybyś nie miała dobrego serca, tobym się panny Rzepczakównej obawiał.

— A zkądże pan Mecenas wie, że ja mam dobre serce? zapytała nieulękniona Marysia.

— To jej z oczów widać—rzekł Mecenas—a jam stary — i — znam się na tem.

— Jeżeli pan tak wszystko zgadujesz, zawołała dziewczyna, toś powinien wiedzieć, że ja też o pańskiem sercu trzymam wysoko — i — okrutnie pana szanuję, nawet — kocham.

Mecenas aż się porwał aby ją za to w ręce pocałować, ale Marysia uciekła. Siadł poprawiając perukę.

— Gdyby człowiek nie był tak stary — rzekł — to, ot taka dzierlatka, szczebiotaniem by mu gotowa głowę zawrócić.

Żywaczyńska, przytomna temu epizodowi, była najszczęśliwszą. Nadzwyczaj jej to było na rękę, do jej tajemnych planów, ożenienie Mecenasa.

Była najpewniejszą że ubogiej Marysi i osamotnionemu prawnikowi zarówno szczęście przyniesie.

Błyskawicą schodził czas do wesela; zbliżały się dni jesienne. Emil wyświeżał swoje mieszkanie, Żywaczyńska ze szwaczkami i Marysią, kończyła skromną ale bardzo obfitą wyprawę. Mecenas przychodził się dowiadywać, nawet częściej niż było potrzeba.

Kilka razy maleńki prezencik przynosząc Tekli, podobnym obdarzał Marysię. Osobliwszy stosunek zawiązał się między nim, a tą, jak ją nazywał, dzierlatką. Dziewczyna go zupełnie zawojowała i podbiła.

Ciągle się sam z siebie śmiejąc, bukieciki przynosił, czasem ręce całował, choć były duże i różowe, Żywaczyńska zaś z obu stron, jak mogła, ognia podkładała.

Jednego dnia, żartując z Marysią, odezwała się do niej.

— A panna byś poszła za niego?

Rzepczakówna z wesołej stała się nagle smutną, zamyśliła się, łzy jej wytrysły z powiek.

— Moja pani, rzekła, jak to się można pytać o takie rzeczy? Ja się kocham w kimś... za tego wyjść nie mogę... biedna sierota, wolałabym pójść za tego kogo szanuję, niż zostać starem panniskiem... Czemuż nie? Ale gdzież to mówić o tem!

Żywaczyńska nie miała nic pilniejszego, jak tegoż dnia w przedpokoju na ucho powtórzyć to, nieco upiększywszy, Mecenasowi, który — aż odskoczył.

— A nie kuś że mnie, niegodziwa starucho — zawołał — a odczep że się ty ode mnie z Marysiami swojemi. Chcesz mnie wystawić na pośmiewisko, czy co?

Dziewczyna młoda, jak ogień, a ja stare pruchno. Czy oszalała!

I czapkę nałożywszy wybiegł z pokoju.

Nazajutrz jednak zjawił się zamyślony bardzo. W czasie całych. odwiedzin mówił mało, ale ciągle się z boku Marysi przypatrywał. Skinął potem na Żywaczyńską przy wychodnem i spytał ją pocichu, wywiodłszy do przedpokoju.

— Powtórz no mi asindźka — co to tam ten trzpiot mówił żartem, bo to nie do wiary i sensu nie ma Mnie to gniewa.

Stara mu powtórzyła dobitniej jeszcze.

— Tfu! nie wódź nas na pokuszenie — zawołał i prędko się wyniósł za drzwi.

Drugiego dnia chociaż przyrzekał być, nie przyszedł. Na trzeci dzień po bardzo poważnej rozmowie, znalazł się sam na sam u okna z Marysią.

— Na co to panna Maryanna niedorzeczności takie prawi — które potem ta stara — ten oto pytel, wiatrak co wiecznie miele—lekkomyślnie powtarza.

— A cóżem ja takiego powiedziała? — spytała Maryś.

— Bałamuctwo—odparł Mecenas—Żywaczyńska

powtarza—plecie, (a zresztą może i kłamie) że panna Maryanna oświadczyłaś jakoby, że za starego grzyba jak ja byś poszła... no — żartem naturalnie, ale po co takie żarty?

— Żartem? nie — zupełnie seryo — to mówiłam, odpowiedziała Marysia trochę zapłoniwszy się — ale Waćpan byś popełnił niedorzeczność żeniąc się z dziewczyną ubogą, bez wychowania, córką restauratora, trzpiotem — który, choć może mieć niezłe serce — jak pan powiadasz — głowę ma przewróconą. Pięknie byś pan wyszedł! co do mnie, to by była nader świetna partya! fiu! fiu!!

Mecenas stał, poprawiając perukę, powoli ją zdjął całkiem, i z łysiuteńką głową, pokazawszy się, ukłonił i rozśmiał.

— Słowo panu daję, zawołała Marysia, że bez peruki daleko, daleko panu ładniej.

— Być to może, ale w peruce — rzekł Mecenas wkładając ją napowrót daleko, daleko — cieplej. A kto w niej chodzić musi, ma prawie pół wieku za sobą — ten — moja panno Maryanno, nie zaleca się i nie żeni.

Ale to mówiąc, ujął Marysię za rękę — łzy miał w oczach.

— Bóg zapłać ci panno Maryanno, rzekł, za twą przyjaźń dla starego, będę ci za to do śmierci wdzięczen. Wierz mi...

Tu zamilkł i oczy spuścił.

— Jużcić — dodał cicho — pokusa wielka, nie przeczę — ożeniłbym się z waćpanną chętnie, ale sumienie trzeba mieć.

Chciał odejść, gdy Marysia go za rękę chwyciła.

— Chodźno pan, rzekła — chcę przed panem odbyć spowiedź powszechną. Ani peruki ani łysiny się nie lękam — byleś się pan mnie nie przestraszył. Któż wie?

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Monachium.

Uroczystość ludowa w Monachium, na „Łące Teresy“. — Szpady Damoklesa wiszące nad głowami Monachijczyków. — Traumvaye. — Wystawa wachlarzy. — Kongres kobiet w Frankfurcie nad Menem. — Kongres ekonomistów w Bremie. — Kongres przyrodników i doktorów w Hamburgu. — Kongres antropologów w Jena; brunetki i blondynki w obec nauki. — Kongres w Bremie obradujący „o ulepszeniu i uświęceniu praw przysługujących narodom i jednostkom“. — Dziełko Kleina p. t. „*Położenie ekonomiczne Niemiec i środki zaradcze.* — Nauczanie artystyczne w szkołach i gimnazyach. Berstein'a: *Siły przyrody i władze umysłowe.* — Karola Schonburg'a. *Jan Elmer* romans tendencyjny — Berlińska Wystawa Obrazów. — *La petite marieé* Lecoq'a w teatrze wiedeńskim. — Wagner i teatr w Bayreuth.

Wielka uroczystość narodowa odbywająca się corocznie w Monachium na „Łące Teresy“ nie była w tym roku tak świetną jak zwykle; dawna prostota i tanie przyjemności już nawet w Bawaryi zaczynają ustępować miejsca nowym wymaganiom i potrzebom.

Zaślubiny księcia Ludwika Bawarskiego, następcy tronu, z księżniczką Sax-Hildburghausen dały początek tej tradycyonalnej wiejskiej uroczystości.

Wprawdzie nie był to już wówczas ów wiek złoty, kiedy to królowie żenili się z pasterkami, jednakże w stosunkach ludu ze swoim monarchą panowała pewna naiwna poufałość i prostoduszność, które od dawna już wyszły ze zwyczaju. Panujący wówczas król Maxymilian wesoły i uprzejmy był ulubieńcem, prawdziwym wybrańcem serca swoich poddanych; mówiąc o nim nigdy nie nazywali go inaczej jak „kochanym Maxymkiem“. Gdzieś się obrócił wy chwalano pod niebiosa zalety i przymioty ukochanego monarchy, i wszystkie czternaście prowincyi składające wówczas królestwo bawarskie, przesadzały się w allegorycznych pomysłach mających przedstawiać cnoty króla i miłość narodu. Na uroczystość zaślubin następcy tronu najodleglejsze nawet prowincye wysłały świetne deputacye. Dzieci niosły chorągwie z herbami miast, a młode dziewice kosze pełne owoców i kwiatów oraz wyrobów przemysłu każdej okolicy. Na czele całego orszaku szła para starców w bogatym narodowym stroju, niosąc olbrzymi bukiet z „vergiss mein nicht“ (niezapominajek) wieniec laurowy i girlandę z róż białych i czerwonych. Wieniec laurowy przeznaczony był dla następcy tronu, róże dla jego żony a niezapominajki dla rodziców, którym ofiarowano bukiet mówiąc: „kwiaty te mówią za nas“. Rodzina królewska zasiadała pod namiotem zdobytym na Turkach przez Maxa-Emmanuela, tam zastawiano im stół a lud usługiwał z całego serca.

Główne cechy tej uroczystości przechowały się po dziś dzień, ale dla obudzenia żywszego zajęcia dodano do niej nowe żywioły. Rozdają nagrody właścicielom najpiękniejszego bydła, odbywają się wyścigi konne, strzelanie do celu i t. p. i rzecz dziwna mimo zmiany czasu, ludowa ta uroczystość zachowała po dziś dzień pewną cechę polityczną. Monachium pragnie przedstawić się jak najkorzystniej przybyszom ze wszystkich części kraju, olśnić ich swą wyższością i urokiem jako stolica państwa, i żaden z królów dotąd nie mijał tej sposobności, aby z najlepszej strony przedstawić się swym poddanym z prowincyi; każdy przyjmuje udział w tej uroczystości i stara się być jak najuprzejmiejszym dla ludu. W tym dniu nie tylko król przyjmuje przedstawicieli mocarstw uwierzytelnionych przy jego dworze, ale każdego kto pragnie z nim mówić. To też październikowa ta uroczystość stanowi obfite żniwo dla wszelkiego rodzaju „reporterów“. Trzy lata temu, właśnie na tem przyjęciu, król bawarski oznajmił ambasadorowi pruskiemu, że królowa matka postanowiła przejść na religię katolicką.

Na tydzień przed rozpoczęciem i tydzień po skończonej uroczystości „Łąka Teresy“ nader ożywiony i malowniczy przedstawia widok. Dwoma rzędami staje nieskończony szereg drewnianych baraków, restauracyi, piwiarni, handlarzy z towarami, panoram, cyrków i najróżnorodniejszych przedmiotów budzących ciekawość lub chęć zabawy; środek tworzy rodzaj ulicy po której od rana do wieczora u wijają się tłumy ludu. W tym roku największe mieli powodzenie Eskimosi mówiący swym monotonnym językiem, którzy odziani w swoją skórzaną odzież, wykonywali najśmieszniejsze tańce. Urządzono wystawę pierwotnych narzędzi jakiemi się po dziś dzień posługują; pokazywano długie łyżwy w jakich przesuwają się po śniegu, ich broń, psy i t. p. co wszystko nadzwyczaj lud bawiło i zajmowało. Chcąc go zadowolnić w zupełności, urządzono przedstawienie w teatrze królewskim, którego jedną scenę w strefach polarnych, przedstawili Eskimosi.

Mało komu zapewnie wiadomo, że poczciwi Monachijczykowie żyją w ciągłej obawie aby nie spadły dwie szpady zawieszone nieustannie nad ich głowami. Pierwszą z nich jest krzyż sterczący na wieży Św. Piotra który ciągle grozi spadnięciem, drugą przewidywanie że jezioro Walchen zaleje kiedyś Monachium. Pierwsze niebezpieczeństwo jeśli nie usunął, to przynajmniej oddalił na długo pewien zmyślny blacharz, urządzeniem w około krzyża rusztowania zapobiegającego jego spadnięciu: pozostaje jednak drugie, poparte odwieczną legendą ludową, przepowiadającą że stolica Bawaryi ma zginąć pochłonięta falami wód. Temu nikt dotąd nie umiał zaradzić na przyszłość, to też pobożni mieszkańcy nie spodziewając się ratunku od ludzi, ufundowali na wieczne czasy mszę świętą mającą odbywać się na tę intencyę w kościele N. Panny.

Monachium nie żartem wstępuje na drogę... żelaznego postępu; zaprowadzono tramvaye konne, na wzór wiedeńskich, które wielkiem cieszą się powodzeniem. Wagony pomalowane są na niebiesko; jak wiadomo jest to narodowy kolor bawarski. Stronnicy autonomii cieszą się że to allegorya polityczna; biedacy! smutna to pociecha!

Zaledwie jedna Wystawa zamkniętą tu została, otwarto niezwłocznie inną, mającą trwać do 1 stycznia 1877 r. Jest to Wystawa wachlarzy. Damy z arystokracyi i wiele mieszczanek nadesłały nader piękne, rzadkie i kosztowne egzemplarze, co razem tworzy zbiór bardzo ciekawy, nawet pod względem archeologicznym. Gratz nadesłał ze swego muzeum bardzo ciekawe okazy: widzimy tu wachlarze od najdawniejszych czasów aż do epoki odrodzenia, i to nietylko używane w krajach ucywilizowanych ale i u dzikich ludów, układane już to z piór już z liści palmowych. Szczególniej dla pań tak dziś zawsze i wszędzie posługujących się wachlarzami, jest to Wystawa bardzo ciekawa.

Można powiedzieć śmiało że w Niemczech grasuje epidemia kongresów; corocznie można ich liczyć na setki. Gdyby te zgromadzenia, na których wypowiada się tyle słów, wniosków i projektów, stanowiły o szczęściu ludzkości, to bez zaprzeczenia Niemcy byliby najszczęśliwszym pod słońcem narodem.

Grzeczność nakazuje dać pierwszeństwo damom, i dla tego zaczynamy od kongresu kobiet jaki się odbył w Frankfurcie nad Menem. Już to w tem mieście dziewiąty z kolei. Nie przestając na wystawieniu swoich wachlarzy, kobiety niemieckie zapragnęły także przedstawić swoje pojęcia, a widząc że mężczyźni odbywają nieustanne kongresa, postanowiły także urządzać swoje, choćby dla podtrzymania zasady równouprawnienia. Kongresowi odbytemu w Frankfurcie nad Menem, przewodniczyła jedna ze znanych nauczycielek lipskich, panna Augusta Schmith. W mowie zagajającej posiedzenie, przedstawiła cel stowarzyszeń kobiet niemieckich, którym jest obrona sprawy i dobra kobiet i rozkrzewianie pojęć mogących polepszyć ich dolę, tak pod względem materyalnym jakoteż moralnym oraz przyczynić się do ułatwienia im drogi nauki i wiedzy. *Niektóre z członków* kongresu pragnęły także przedstawić swoje wnioski, ale spisane były na tylu arkuszach, że niepodobna było dopuścić ich czytania.

W Bremie odbył się siedemnasty z rzędu kongres ekonomistów. Wiele z traktowanych tu kwestyi były już rozbierane na kongresie robotników w Paryżu. Odnośnie do Niemiec, najważniejsze były rozprawy o próbie złota i srebra w wyrobach złotniczych i jubilerskich. Wiadomo że w Niemczech wolno każdemu fabrykantowi używać ile mu się podoba przymieszki do swoich wyrobów złotniczych, i z tego powodu wyroby z tak zwanego „niemieckiego złota“ bardzo nizko cenione są w targu, kiedy przeciwnie wyroby jubilerskie, francuzkie, trzymające zawsze prawem przepisaną próbę, wszędzie są poszukiwane. W Szwajcaryi, główna gałęź przemysłu, zegarmistrzostwo, upadło bardzo od chwili gdy w widokach współzawodnictwa, zaczęto wyrabiać koperty do zegarków z daleko gorszego złota niż koperty francuzkie. Jednak pomimo tak przekonywających dowodów, większość ekonomistów niemiec-

kich jest za dowolnością próby; kongres oświadczył wprawdzie że korzystnie byłoby wprowadzić pewne zasady, ale położył warunki równające się zupełnej dowolności.

Kongres przyrodników i doktorów w Hamburgu, jak się rozpoczął tak i zakończył bankietami i festynami, na których toasta były nieraz tak liczne jak potrawy. Każdy z obecnych, oprócz jadłospisu, który stanowiła allegoryczna rycina mająca być pamiątką zebrania, znajdował jeszcze pod serwetą małą książeczkę obejmującą dość wolne śpiewki. Toast wniesiony na cześć cesarza austryjackiego, o mało nie zakłócił dobrej harmonii, zapobiegł temu szczęśliwie jeden z obecnych, wnosząc zdrowie wszystkich książąt niemieckich.

Dla ogółu ciekawszym był daleko kongres antropologistów w Jena. Znany tameczny uczony, p. Schaafhausen, czytał ciekawą rozprawę o brunetkach i blondynkach. Że też ci uczeni nic nie uszanują! Ot i pan Schaafhausen poważył się wykazywać, że te tak często poetyczne i rozmarzone niebieskie oczy, są po prostu wynikiem słabszej konstytucyi blondynek niż brunetek, jakoteż brakiem w oku pewnej ilości materyi zabarwiającej, pochodzącym z pewnego rodzaju ogólnej anemii. Im mniej znajduje się w oku tej materyi zabarwiającej, tem oko będzie jaśniejsze; jeśli jej prawie wcale nie ma, wówczas krew przegląda i oko jest czerwone jak u albinosów. Od dawna już spostrzeżono w Niemczech, że chłopi mają oczy niebieskie daleko bledsze i włosy blond daleko jaśniejsze niż mieszkańcy miast; uczony jenejski tłómaczy ten fakt brakiem pożywnych pokarmów, gdyż wieśniacy żywią się zazwyczaj jarzynami a szczególniej ziemniakami, mięso zaś rzadko kiedy jadają. Zresztą nie ulega zaprzeczeniu, że typ brunetów i brunetek ma w sobie daleko więcej żywotności i trwałości niż typy blond. W ogóle w małżeństwach blondynek z brunetami i odwrotnie, zawsze w dzieciach przeważa typ brunetów, i pod każdym względem dzieci podobniejsze są do tego z rodziców które jest brunetem czy brunetką. Delikatniejsza organizacya będąca często udziałem blondynek, wywiera wpływ na ich system głosowy; miewają zazwyczaj głos więcej giętki niż brunetki. Liczne spostrzeżenia przekonywają, że po większej części soprany i tenory mają blond włosy i niebieskie oczy, zaś contr-alty i basy, czarne oczy i włosy. Fakt ten że na Północy daleko więcej jest blondynów niż brunetów, p. Schaafhausen tłomaczy twierdzeniem, że zimno niszczy materyę zabarwiającą skórę i włosy, na którego poparcie przywodzi spostrzeżenia stwierdzone doświadczeniem, że rośliny południowe przeniesione na Północ, bledną i tracą swą barwę. Toż samo zresztą ma miejsce z upierzeniem ptaków i siercią zwierząt. W Rossyi kuropatwy i zające są białe; a jak zające bieleją od zimna tak w ogóle i cera blednie w miarę obniżania się temperatury. W Niemczech dziś zaledwie trzecia część ludności ma włosy blond, kiedy dawniej włosy blond stanowiły właśnie cechę rasy germańskiej.

Aby skończyć z kongresami, wspomnę o jednem jeszcze, najniezawodniej najważniejszym i najdobroczynniejszym w skutkach, gdyby postanowienia jego weszły kiedy w wykonanie. Kongres ten odbył się w Bremie i traktował „o polepszeniu i uświęceniu praw narodów i jednostek“. Z cudzoziemców przybyło tylko kilku Anglików, kilku Belgów i kilkunastu Hollendrów. Jako miasto przeważnie handlowe, Brem pragnie gorąco aby raz już unia pokojowa połączyła ludy, to też municypalność jej żywy udział przyjęła w kongresie. W mowie powitalnej, bur mistrz nadmienił, że od wielu już lat Izba handlowa Bremeńska, zalecała zasadę poszanowania własności prywatnej podczas wojen morskich.

W ciągu licznych posiedzeń kongres rozbierał kwestyę: zmiennego między-narodowego systemu monetarnego między-narodowego, prawa między-narodowego o patentach swobody na różne odkrycia i wynalazki; ubezpieczeń morskich; roztrzygania sporów morskich; zajmowania własności prywatnej w czasie wojny; wydawania przestępców; o stosunkach między narodami chrześciańskiemi a nie chrześciańskiemi, i w. i. W ostatnim względzie kongres był zdania że stosunki te powinny być oznaczone prawami, i że należało przyjąć za zasadę: iż ponieważ wszystkie ludy są członkami jednej wielkiej rodziny ludzkiej, zatem wszyscy ludzie mają prawo do równych przywilejów i korzyści. Dalej, że narody najucywilizowańsze i najlepiej obdarzone od losu, powinny czuwać nad słabszemi ludami i nie dopuszczać aby ktokolwiek mógł wyrządzić im krzywdę.

Piękne i szlachetne zasady, ale, niestety! chyba nie tak zaraz wejdą w wykonanie.

(d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegji.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Wróciwszy z wycieczki ujrzeliśmy na wybrzeżu osadę statku otaczającą dwóch ludzi nizkich, brudnych, przysadkowatych, z kolanami skrzywionemi. którzy rozprawiali coś żywo, rzucając się i machając rękami. Mieli na sobie jakby długie czarne wełniane koszule, na nogach ogromne skórzane buty, kosmyki rozczochranych włosów wysuwały się z pod śpiczastych czapek. Mieliśmy przed oczyma próbkę rasy lapońskiej. Wpatrując się w ich twarze, przekonałem się że brzydota ludzka może dosięgnąć bezgranicznych, nieznanych horyzontów. Nieco opodal stali inni Lapończycy, którzy przyprowadzili do Pitea renifery na sprzedaż. Jest to zwierzę piękne i silne, podobne do jelenia, tylko chód i ruchy nie tak zręczne; ale ciemne oczy renifera są tak ładne i łagodne jak oczy gazelli lub antylopy, a głębokie ich wejrzenie zdradza dobroć i pojętność.

Dwóch Lapończyków wsiadło na nasz statek chcąc z Pitea udać się do Umea; za przewóz zapłacili kilka *ore*, jest to drobna zdawkowa moneta, którą wyjęli ze skórzanej sakwy świecącej się od tłuszczu, ale zdobnych blaszkami z oksydowanego metalu. Szwedzi od niepamiętnych czasów zawsze pogardzają Lapończykami i nigdy nie łączą się z niemi. Język lapoński jest zupełnie inny; rozumieją jednak i odpowiadają po szwedzku mówiąc z majtkami, ale między sobą mówią jakimś dość dźwięcznem narzeczem, nic a nic nie podobnem do dyalektów skandynawskich. Uprzejmi towarzysze podróży tłomaczyli nam rozmowę prowadzoną z Lapończykami.

— Gdzież jest teraz całe wasze plemię? zapytano.

— Zostawiłem go na wybrzeżach Tornei, ale obecnie musi już być w pobliżu jeziora Aryeklug, o dziesięć mil drogi od Tornea. Z powrotem zejdę się z niem zapewne na granicy Norwegii.

— Czemu raz już nie zaniechacie tego włóczęgoskiego życia z pustyni na pustynię?

— Tak żyli nasi ojcowie, czemuż my nie mamy iść ich śladem.

— Czy wiesz że rząd szwedzki nadaje grunta każdemu z was który zobowiąże się uprawiać je i stale osiedlić?

— Wiem o tem; jeden z naszych przystał na te warunki i dano mu *gaard* tak rozległy jak waszych wieśniaków; osiedlił się tam i chciał żyć wraz z rodziną, lecz ilekroć zobaczył nasze koczujące pokolenia uczuwał nieprzezwyciężoną chęć przyłączenia się do nich. I tak najpierw opuścili go synowie, za nimi poszła żona, aż wreszcie nie mogąc wytrzymać i on uciekł z domu. Każdy dom, choćby własny, wydaje nam się więzieniem.

— A jednak tak często przybywacie do miast naszych, czemuż nie mielibyście stale w nich się osiedlić.

— Przecież mamy własne miasta w Laponji, Karesuando i Zuickjock.

— Cóż to za miasta! Każde składa się zaledwie z jakich dwudziestu chałup otwartych na cztery wiatry, które służą nam jedynie za składy. Przechowujecie w nich czasowo narzędzia, zapasy żywności i futra; słowem przechodzicie przez wasze miasta ale w nich nie mieszkacie.

Lapończycy nic na to nie odpowiedzieli.

— Po cóż udajecie się do Numea?

— Za interesami.

— A jakże wam idą?

— *Den will*, jak sami chcemy, odrzekł z uśmiechem, a jednocześnie twarz mówiącego przybrała wyraz zadowolnienia i niewysłowionej chciwości.

Lapończycy przybywają na wybrzeża głównie dla sprzedaży reniferów i futer. Zdaje się że wygasły w nich wszelkie ludzkie uczucia i jedna tylko chciwość przechowała się w zamarzłych sercach. Whandlu dopuszczają się wszelkich podejść i oszukaństwa i pod tym względem przewyższają najwięcej wyrafinowanych europejskich oszustów. Wszystkie prawie zdobyte tym sposobem pieniądze obracają na ozdoby mające upiększyć brzydkie ich postacie; zatłuszczone ich pasy nabijane są wyrobami z najczyściejszego srebra i nieraz wielką mają wartość.

Dzięki zyskownym spekulacyom niektórzy posiadają trzody liczące po dwa do trzech tysięcy reniferów, a kto wie, może ci bogacze w łachmanach nie zaprzestają prowadzić koczującego życia dla uniknienia opłaty podatków.

Lapończykowie są namiętnie przywiązani do swych puszcz i stepów, swojej ponurej ojczyzny i nie zamieniliby jej choćby na najrozkoszniejsze, najbogatsze okolice. Tegoczesna nauka wyprowadza ich pochodzenie od sławnych naddziadów, i daje im za przodków Attylę i Hunów, oni zaś uważają się za *Finnów*, za gałęź szczepu fińskiego, wyszłą z Mongolji, która chwilowo zalała północ Europy i napadała ztamtąd na okolice południowe. Żałowaliśmy tylko żeśmy nie widzieli żadnej Laponki, pamiętając jak dziwaczne i ciekawe szczegóły podał o nich Regnard; jednak zapewniano nas że to tylko złośliwe zmyślenia.

Jeszcze rozmawialiśmy o Laponji, Lapończykach i Laponkach, gdy *Tleule* zarzucił kotwicę w porcie Haparanda. Był to kres naszej morskiej podróży. Haparanda leży na północnym krańcu zatoki Botnijskiej przy ujściu Tornea-elf, naprzeciw rossyjskiego miasta Torneo. W r. 1809, Szwecya zmuszoną była odstąpić Finlandyę cesarzowi Aleksandrowi I i dla pocieszenia się po tej stracie, zbudowano nowe szwedzkie Torneo, pod nazwą Haparanda.

Z Haparanda do Avasaxa, droga ciągnie się nieprzerwanie na prawym brzegu rzeki. Jeśli z pomiędzy wszystkich ludów zamieszkujących starą Europę, bez zaprzeczenia palma brzydoty należy się Lapończykom, to i kraj ich jest najniezawodniej najbrzydszym, najposępniejszym na naszym lądzie, i w każdym turyście budzi odrazę i przerażenie; dreszcz zimny przejmuje na samą myśl: gdyby tu przyszło zamieszkać!

Opowiadano nam że w r. 1795 Ludwik-Filip Orleański, książę Chartres, późniejszy król Francuzów, zwiedzał Laponię. W końcu marca, to jest w środku zimy, był w blizkości Muonioniska, na północ Torneo; tam wraz ze swoją służbą zabłąkał się w bezgranicznej puszczy i byłby zginął wśród śniegowej zamieci, gdy wtem nagle pojawił się starzec nędznie odziany i skinął na księcia aby szedł za nim. Starzec ten niezwykłą miał postać, iż służba księcia patrząc na niego drżała z przestrachu, biorąc go za ducha ciemności. Ale Ludwik-Filip zwrócił się we wskazanym kierunku i kazał im iść za sobą. Doszli do pieczary jakie Lapończycy niekiedy wykuwali sobie w skale aby mieć schronienie podczas zimy. Jakież było zdziwienie księcia, gdy u wejścia głos czysty i dźwięczny powitał go po nazwisku i uprzejmie po francuzku ofiarował gościnność. Przed nim stała młoda dziewica; piękność jej dziwną tworzyła sprzeczność z brzydotą starca którego nazywała ojcem. Oznajmiła księciu że przybycie jego było jej zapowiedziane, że stary Lapończyk jest mędrcem czytającym w przyszłości i że tajemnicze potęgi ziemskie i wodne rozmawiają z nim poufale. Z kolei i czarodziej zbliżył się do księcia i uniesiony proroczem natchnieniem, przepowiedział nowe burze wiszące nad Francyą, ukazał koronę mu przeznaczoną, objawiając zarazem że zaburzenie ludowe wyniesie go na tron, ale inne wstrząśnienie znów go z niego strąci. Wypowiedziawszy to padł jak długi na ziemię, ubezwładniony wysileniem jasnowidzenia.

Zadziwiony niewymownie, Ludwik-Filip zapragnął zbadać otaczającą go tajemnicę, zaczął więc prosić i błagać młodą dziewicę aby mu ją wyjaśniła i ta nareszcie powiedziała mu że jest córką księcia z rodu Burbonów, który opuścił jej matkę, i ta lękając się prześladowania schroniła się na puste wybrzeża Finlandyi. Stary Lapończyk dał schronienie wygnankom, a gdy matka jej spoczęła na cmentarzu Uleaborg, stał się ojcem dla sieroty. Ludwik-Filip chciał dowiedzieć się nazwiska księcia, który porzucił kochaną pierwej kobietę; młoda dziewczyna nie umiała go w tem objaśnić, ale pokazała listy, jedyną spuściznę po matce, i książę poznał pismo swego ojca.

Opowieść ta zakrawa trochę na bajkę, jest jednak bardzo rozpowszechnioną w całej Finlandyi. Poeta Topelius osnuł na tem tle rodzaj romansu wierszem, który tu na Północy jest bardzo popularny. Dziełko to ogłoszone było drukiem w r. 1845, trzy lata przed rewolucyą lutową, tak więc stary Lapończyk przepowiedział przyszłość.

Po dwudziesto-cztero godzinnej podróży dniem i nocą stanęliśmy w Matarengi; jest to nędzna wioszczyna leżąca na prawym brzegu Tornea-elf, tuż naprzeciw góry Avasaxa, której szczyt granitowy sterczał przed nami. Koło biegunowe przechodzi przez wierzchołek cypla Avasaxa, i zaznacza początek stref lodowatych.

Tegoż wieczora przepłynęliśmy rzekę w jednej z tych łodzi finlandzkich, ciasnych i długich, których przód podnosi się i zagina jak u pirogów. Naokoło nas uwijała się cała flotylla takich łodzi, przeważająca ludność nadbrzeżną, przywodząc nam na myśl wędrówki plemion indyjskich po jeziorach Ameryki północnej. Wstęp na górę nie trwa zbyt długo ale jest bardzo nużący. Obok nas wdrapywały się tłumy mężczyzn, niewiast i dzieci; wyglądali jakby hufce złożone z wojowników i amazonek gotujące się do szturmu. Niektóre pary zdawały się połączone bardzo ścisłemi węzłami; nieraz młodzian porywał w objęcia towarzyszkę i wnosił ją na skałę lub przenosił przez jakieś trudne przejście. Nie były to jednak małżeństwa, tylko odwiecznym zwyczajem wstępowali na górę Avasaxa, aby tam, w obec słońca ukazującego się o północy, odbyć uroczyste zaręczyny. Nieraz długie lata upłyną od tych zaręczyn, narzeczony przywdziewa mundur rossyjskiego żołnierza i staje na warcie przed pałacami Petersburga, nigdy jednak nie złamie wiary narzeczonej, którą przyrzekł jej uroczyście pod blaskiem dziwnego i łagodnego światła, które tylko w jego rodzinnej ziemi przyświeca.

Szczyt góry Avasaxa tworzy dość rozległą płaszczyznę: od północy panuje ona nad półkolem gór, których środek roztwiera się dla przepływu Tornea-elf, która odtąd zamienia się w szereg jezior. Od strony południa roztacza się nieskończona szara płaszczyzna; smutny to i zimny krajobraz, nie jest jednak pozbawiony pewnej wielkości.

Gdyśmy weszli na wierzchołek Avasaxa była godzina dziesiąta. Spojrzeliśmy na północ. Z lewej strony to jest ku zachodowi, słońce obniżało się zwolna, posuwając się ku północy, w stronę małej niedźwiedzicy i opisując koło od wschodu ku zachodowi. Gorący koloryt wieczoru pokrył doliny i ozłocił pochyłości gruntu; szczyty wzgórz rysujących się w oddali powlokły się odcieniem niebieskim. Atmosfera była zupełnie czysta, zaledwie lekkie chmurki jakby nakrapiane szarym i różowym kolorem, unosiły się w powietrzu. Jednak tarcza słoneczna coraz więcej pochyla się ku horyzontowi. Ciemność ogarniająca zwolna podnóża wyżyn, zaczyna dochodzić do ich szczytów; na każdym wierzchołku zabłysły złote smugi, potem znikły jedna za drugą jak zgasłe pochodnie. Północ: słońce znajduje się na północy, wprost nas; dotyka brzegów horyzontu nie znikając ani na chwilę, jakby chciało pocałować ziemię. W tej chwili niebo przedstawia nam widok, którego nigdy nie zapomni kto go widział. Zdaje się że firmament rozdzielił się na dwie części, i gdy będąca po naszej lewej stronie jest jeszcze zaróżowiona promieniami zachodzącego słońca, druga, na prawo, rozjaśnia się już perłowemi odbłyskami i przepysznym rumieńcem jutrzenki. Pod naszemi stopami ciemność zaległa dolinę; różowe światło oblewa szczyt góry na którym stoimy, wdziera się w załomy skał, rozdziera iskierki po iglicach sosen, i zdało nam się że jest to toż samo światło, które w ciągu sześciu miesięcy ciągłych dni, rumieni lodniki Szpicbergu i wdziera się do ich lazurowych pieczar.

Tłum otaczających nas prostaczków przygląda się z religijnem wzruszeniem przejściom tego niebieskiego zjawiska. Niektóre kobiety śpiewały jakąś pieśń nabożną, poważną i smętną. Słońce nie zaprzestało swoich obrotów i już powoli zaczyna wyłaniać się po prawej stronie. To nowy dzień powstaje: dziś się rozpoczyna, a co przed chwilą było dzisiaj, teraz nazywa się wczoraj. W jednej chwili ciemność zalegająca dolinę znikła jakby nagle odsunięta zasłona; złocista mgła roztacza gór szczyty, roztacza się na doliny, i zsuwa na wód powierzchnie. Światłość zajaśniała; przyroda się ożywiła; jest to niezaprzeczenie wielka uroczystość ciepła, światła i życia w tych posępnych strefach skazanych na zimno i ciemność. Radość ludu objawia się głośno: rozlegają się wesołe chóry, tańce krążą po nad przepaściami; w obec słońca puszczają fajerwerki, obejmujące skały uściskami swych białawych płomieni. Trzej gentlemani amerykańscy z zadowoleniem poglądają dokoła i ryją na skale swoje nazwiska, z dumą kapitana okrętu zatykającego chorągiew Stanów Zjednoczonych na jakiejś nieznanej dotąd wyspie, którą odkrył pod samym biegunem.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714 — 1765 wydał A. Pawiński. Tomy I — III. Warszawa 1876.

Pamiętniki Matuszewicza, pierwsze takich rozmiarów i takiego zakresu z czasów saskich, dotychczas spoczywały w rękopiśmie, chociaż znał je i nieraz z nich korzystał Bartoszewicz. Obecnie poraz pierwszy ogłoszone są drukiem całkowicie z rękopismu, należącego do pani Rusieckiej zawierającego 1600 stronic in folio, przepisanego przez Matuszewicza własnoręcznie. Miało być cztery tomy: z tych trzy pojawiły się jeszcze przed nowym rokiem, a czwarty zapowiedziano na koniec stycznia. Odkładaliśmy dla tego sprawozdanie, oczekując uzupełnienia całości, ale że i dziś jeszcze, o czwartym tomie nie słychać musimy więc poprzestać na trzech, które mamy pod ręką.

Marcin Matuszewicz znany był dotąd tylko jako poeta i ojciec Tadeusza Matuszewicza posła na sejm czteroletni, a następnie ministra za czasów księztwa warszawskiego i w pierwszych latach królestwa. Rzecz dziwna, że nie było dotąd z pewnością wiadomo, czy Tadeusz był synem Marcina ale teraz to już nie ulega wątpliwości. Marcin Matuszewicz pisywał wiersze oryginalne, pochwały, panegiryki i ody na cześć możnych i królów, ale szczególniej odznaczył się, jako tłómacz satyr Horacego, wydrukowanych 1784 r. już po jego śmierci. Z powodu rzadkości tego wydania, autor Listopada H. Rzewuski przygotował 1853 r. drugą edycyą satyr, ale ta do skutku nie przyszła. Matuszewicz nie był genialnym poetą ani też doskonałym tłómaczem: przekład jego wolny, tu i owdzie rozszerzony własnymi dodatkami tłómacza, pozostawia czasem nieco do życzenia; ale niemożna zaprzeczyć mu znacznego wyrobienia formy — czystości języka, poprawności miary i rymu. Dla tego Matuszewicz zajmuje niepoślednie miejsce pomiędzy poetami owego okresu, a że tłómaczenie swoje ukończył w 1760 roku, można go więc uważać za przedstawiciela najczystszej polszczyzny w okresie Augustów saskich, gdy literatura, jak wiadomo, zarażoną była potworną modą makaronizmów, gdy dobry smak wymagał ażeby po każdym prawie wyrazie polskim następował wyraz łaciński. Matuszewicz jest dowodem, że jeszcze przed reformą Konarskiego i owem odrodzeniem Stanisławowskiem, język polski zaczął się dźwigać z tego upadku i otrząsać z makaronizmów. Przedmiot do tego wybornie był dobrany: tłómaczyć Horacyusza, poetę łacińskiego, trudno było, nawet pomimo usilnej chęci, tłómaczyć na język polsko-łaciński; przekład, jeśli miał być przekładem musiał być polskim, przeznaczonym dla nieznających łaciny, gdyż rozumiejący ten język nie potrzebowali przekładu makaronicznego, mogąc czytać Horacyusza w oryginale.

Pamiętniki swoje rozpoczyna Marcin Matuszewicz od roku swego urodzenia (1714) i doprowadza do

r. 1765, w kilka lat po którym umarł. Trzy tomy, które mamy, dochodzą do końca r. 1762, brakuje więc opisu bezkrólewia po Auguście III, obioru Poniatowskiego i wypadków z pierwszych dwóch lat panowania nowego króla. Pierwsze lat 40 życia Matuszewicza mało obfitowały w wypadki ogólnego znaczenia: dorabiał się on dopiero karyery, a chociaż brał czynny udział w walce o tron Stanisława Leszczyńskiego z Augustem III, był jeszcze wówczas bardzo młodym i nie zdawał sobie dostatecznie sprawy z biegu wypadków spółczesnych. Opisuje jednak drobiazgowo swoje dzieciństwo i wychowanie, okoliczności familijne i koleje swego zawodu. Rodzina jego, jak to zwykle bywało, zostawała w klienteli możnych Sapiehów. Matuszewicz miał udać się zagranicę z młodym Józefem Sapiehą, ale ta podróż nie przyszła do skutku dla tego że Józef Sapieha, już starosta grodowy mielnicki i regimentarz chorągwi, „dostał plagi od dyrektora swego ks. Józefa Konarskiego pijara za „konwersacyą z damą" i nie mogąc przeżyć tego despektu, życie sobie odebrał. Wkrótce potem zaciągnął się Matuszewicz do „gran-muszkieterów" Augusta II, ale po zaszłej niebawem śmierci tego króla i jednogłośnej elekcyi Leszczyńskiego („tylko jedna chorągiew nowogrodzka opuściła pole elekcyi" powiada Matuszewicz), młody Marcin zaciągnął się w szeregi stronników Leszczyńskiego. Dzieje krótkiego powtórnego panowania tego króla i wojny domowej, po raz pierwszy opisane tak obszernie u Matuszewicza, chociaż o tyle tylko, o ile sam brał w tych wypadkach udziału. (Tom I str. 19 — 56). Potem mówi prawie wyłącznie o sprawach domowych, przeplatając szczegóły familijne historyami trybunałów i sejmików i dziejami spółzawodnictwa Sapiehów, Radziwiłów i Czartoryskich. Sam zaczął brać czynniejszy udział w rozmaitych intrygach dopiero gdy został pisarzem grodzkim, a potem podstolim Brzeskim (kasztelanem Brzeskim mianował go dopiero Stanisław August w 1768 r.) Czynność Matuszewicza istotnie była niezmordowaną, zwłaszcza od 1754 roku: ciągle odbywał podróże — tu na sejmiki, tam na trybunał lub do Warszawy na sejmy i do króla, poił bracią szlachtę, urządzał wybory, przeprowadzał kandydatów, których możni jego opiekunowie stawiali. Sam przerzucał się często z partyi do partyi: służył początkowo Sapiehom, potem Czartoryskim i Radziwiłom.

Działalność publiczna Matuszewicza, jego sposób postępowania, przekonania i zasady w rozmaitem i niejednakowem przedstawiają się świetle. Z Sapiehami w których klienteli zostawali początkowo, poróżnili się z Matuszewicze i procesowali o dobra; nie przeszkadzało to jednak Marcinowi przy sposobności „bardzo nizko kłaniać się" członkom tego domu i cieszyć się, jeśli który „dość łaskawie jego atencyą przyjął." Kanclerz Sapieha dał Marcinowi urząd pisarza grodzkiego brzeskiego, niedarmo wprawdzie, gdyż trzeba mu było zapłacić 500 dukatów, „a gdy i drudzy, powiada Matuszewicz, tyleż co ja dawali, tedy ja sam jeszcze szóste sto dukatów postąpiłem." Dziękował jednak za ten urząd Matuszewicz napuszoną i uniżoną mową, którą przytacza i niejednokrotnie w niej „garnie się do nóg JW. Pana", nazywa dom Sapiehów „najjaśniejszym" wyprowadza go od jakiejś kolumny, a sięgając głębiej aż od cesarza rzymskiego Nerwy Trajana (!) i bodaj że nawet od Herkulesa! Tak to po wszystkie, niestety, wieki, obok wielkiego rozumienia o sobie i o wartości klejnotu szlacheckiego, objawiało się także nizkie płaszczenie się i pochlebstwo przed możniejszemi i silniejszemi. Kupiwszy tak drogo urząd, Matuszewicz chwali się, że sam nie wymagał dużo od podwładnych: regenta Laskowskiego potwierdził na urzędzie, wziąwszy od niego tylko beczkę wina, a że było niedobre, oddał mu takowe i natomiast wziął 15 dukatów. Był to pierwszy krok karyery publicznej Matuszewicza; usiłował więc zyskać sobie afekt spółobywateli „kłaniając się i częstując, ile mógł" jak sam powiada. Mając sprawę w trybunale, częstował i pił sam raz przez pięć tygodni, w skutek czego ciężko zachorował. Na wezwanie panów natychmiast się stawił pospiesznie, bez względu na odległość, raz w ciągu jednego dnia odbył 15 mil konno, drugi raz w 32 godziny odbył 27 milową drogę z Mińska do Wilna. W jednej z licznych mów dziękczynnych nazywa Sapiehę Jowiszem Lacedemońskim, Jowiszem Statorem całej ojczyzny (I, 150). Nadskakując zaś tu i owdzie, wichrząc po sejmikach, stracił nareszcie łaski kanclerza Sapiehy, starał się go wprawdzie przebłagać — „upadł mu do nóg i zaczął bardzo płakać" ale napróżno: usłyszawszy ten płacz kanclerzyna wpadła i zaczęła łajać Matuszewicza, który musiał wynieść się z pokoju (I, 161). Od tego czasu Matuszewicz trzymał się klamki Czartoryskich i im się wysługiwał. Nie przeszkadzało mu to starać się o względy króla i partyi Bryla, ale bez wielkiego skutku: chwali się że raz bardzo podobała się królowi mowa, którą go witał, jako poseł od trybunału. Nieszczęście mieć chciało, że i Czartoryscy zaprzestali opiekować się Matuszewiczem, głównie z naprawy jakiegoś Szelutty, któremu nasz Marcin pannę odmówił, ale więcej, zdaje się, z powodu jego intryg na sejmikach i wysługiwania się partyom przeciwnym. Gdy nareszcie znany Fleming, przyjaciel Czartoryskich został na sejmiku poturbowany i zelżony, z udziałem, jak sądzono, Matuszewicza, Czartoryscy zaczęli go nawet prześladować i namówili jakiegoś Witanowskiego, ażeby twierdził iż ma u siebie babę chłopkę, która się mieni ciotką Marcina Matuszewicza a siostrą jego ojca. Zarzucano więc Matuszewiczom że nie byli szlachtą. Taka sroga, jak na owo czasy, potwarz dotknęła do żywego Matuszewicza, tak że procesował się zawzięcie z Witanowskim i z samym kanclerzem Czartoryskim, o czem szeroko z najdrobniejszemi szczegółami i z wielkim lamentem opowiada. Rozmaite czynił zabiegi Matuszewicz ażeby tej potwarzy zaprzeczyć; z dowodów zasługuje na uwagę przytoczony w t. II na str. 83 list hetmana Branickiego, który powiada że ojciec Matuszewicza nie byłby pewno posyłany z młodym Sapiehą zagranicę, gdyby był „podłej kondycyi" t. j. nieszlachcicem.

Teraz Matuszewicz przerzucił się do obozu Radziwiłłów, to jest do partyi dworskiej. Starał się wprawdzie przebłagać zarazem i kanclerza Czartoryskiego, zalewając się łzami i „strasznie się przeklinając", że w historyi z Flemingiem udziału nie brał, a nawet „myślą przeciw Czartoryskim nie zgrzeszył". Bywał i u wszechwładnego ministra Bryla. Zasługuje na uwagę szczegół, że wszystkie listy do króla pisane, musiały być w kopii doręczane Brylowi.

Gdy więc raz dano Matuszewiczowi list od Radziwiłła do króla bez takiej kopii, poradzono mu, aby sam ją zrobił, a potrzebną do tego pieczęć Radziwiłłowską przez noc sfabrykować kazał, co też i uczynił, i mając pieczęć, list otworzył, kopię spisał, a potem tą pieczęcią i list na nowo i kopię zapieczętował (t. II str. 108).

Matuszewicz zabiegał ciągle o godności i urzędy i tak np. padał do nóg ks. Chorążemu błagając, aby go utrzymał jako deputata na trybunał. „Całowałem ks. Chorążego w nogi — własne są słowa Matuszewicza; przyjął bardzo łaskawie tę moją pokorę" (II, 146). Procesując się z Czartoryskimi o ów zarzut chłopskiego pochodzenia Matuszewicz tak sobie poczynał: „skoro z sądów tak rannych jako i poobiednich zjeżdżali deputaci, zaraz na konia wsiadłszy, objeżdżałem ich, do nóg krzyżem padałem, płakałem i tak nauczyłem się płakać, że skoro do którego deputata przyjechawszy mówić zacząłem, zaraz mi się łzy z oczu lunęły" (II, 150). Rzecz istotnie zadziwiająca, jaki to był duch epoki, gdy szlachcic polski, dumny ze swobód i przywilejów, który jednem słowem niweczył działalność całego sejmu wraz z królem, nadto sam urzędnik, niejednokrotnie poseł na sejm i deputat na trybunał, nie uważał sobie za upokorzenie padania do nóg nietylko magnatom ale równej sobie szlachcie. Nawet i wtedy, gdy procesował się z Czartoryskimi, Matuszewicz przy sposobności, „padał do nóg kanclerza Czartoryskiego, płakał i strasznie się przeklinał" (II, 241).

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. A. D. z Rypina. Nadesłane rubli trzy na drzewo dla biednych mieszkańców miasta Warszawy, doręczone zostały Towarzystwu Dobroczynności.

Ogłoszenie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 3 wyszedł z druku i zawiera:

Czikosy węgierscy (z drzeworytem). — Dora (dokończenie). — Pogadanka z Ojcem. — Pogadanki historyczne. Czyny nauczające. — Z wiadomości bieżących. — w Dodatku: Opowiadania pana Rębajły (z drzeworytem). — Podejrzenie (wiersz). — Pragnienie Władzia — Narzekania Ignasia. —Dżdżownik rzeczny (z drzeworytem).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 (18) Января 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 2.

(Dokończenie).

N. 26—28. Kieszonka do zawieszania przy toalecie lub stoliczku do szycia. Materya haftowana i pikowana.

N. 35. Poduszka na toaletę. Deseń na Fig. 21.

Pokrycie poduszki składa się z ośmiu kwaterek haftowanych na cienkiem płótnie niewarowem. Nie zwykły sposób roboty na tem zależy, że tylko brzegi deseniu obrobione są kordonkiem, ściegiem sznureczkowym, a całe tło kwaterek pokryte kratką gipiurową dzierganą cienkim jedwabiem niebieskim. Po odzierganiu brzegów kwaterki spaja się z lewej strony; następnie na środku dodaje rozetę z płótna niewarowego mającą $4 \frac{1}{2}$ cent. średnicy, oszytą równie jak i pokrycie z brzegu, pikotami szydełkowemi, z cienkich, szarych nici.

N. 36—37. Stanik wycięty.

Do spódnicy od balowej, tarlatanowej sukni, suto przystrojonej bufami i falbankami, stanik wycięty, z tyłu sznurowany, odrobiony był z białego atlasu. Ryc. 36 przedstawia z przodu stanik przybrany tiulem jedwabnym, któren w kształcie berty z jednej strony ułożony jest w trzy bufki powleczone atlasowemi rulonami, w drugiej połowie drobno fałdowany i przepinany kokardami. Przy krótkich rękawkach i przy ramiączkach dana riusza z atlasu, która także zdobi plecki w sposób na ryc. 37 wskazany, dopełniona bufą albo plisowaniem z jedwabnego tiulu. Przy wykroju stanika dodana szmizetka z drobno plisowanego tiulu, przewleczona czarną aksamitką.

N. 38 i ryc. 1 w N. 2. Paletocik krótki, skośnie zapinany. Krój N. II, Fig. 5—11.

Ryc. 38 przedstawia z przodu paletocik czarny matlasowy, zapinany skośnie na dwa rzędy dużych guzików oszyty jest piękną frendzlą kwaścikową, plisą z jedwabnego repsu oraz naszyty pletnią i sutaszem. W N. 1 na ryc. 11 przedstawiony jest z tyłu paletocik z czarnego *velours*, z plecami przybranemi wyłożeniem repsowem mającem u góry 22, w środku 8 a u dołu 20 cent. szerokości. Wyłożenie to wzdłuż przez środek zeszyte jest wypustką z grubym sznurkiem i przyozdobione szmuklerskiemi guzikami i naszyciem naśladującem dziurki; z brzegów przy wyłożeniu dodane wyszycie sutaszem. Dół paletocika, przód zwierzchni skośnie ścięty, rękawy i wykrój szyi obłożone skunksami. Do zapięcia przodów przy zwierzchniej połowie od spodu, dodana listewka z dziurkami, a z przeciwnej strony przyszyte małe płaskie guziczki, tak iż zapięcie jest niewidoczne. Przód zachodzący na wierzch ścięty skośnie, oznaczony jest na Fig. 5 i na zmniejszonym rysunku Fig. 5 a—11 a, linijką z punkcików.

Opis do N. 3.

N. 1—2. Ubranie dla dziewczynek.

Tak dla dziewczynek które zaledwo nauczyły chodzić o własnej sile, jak i dla panienek dorastających które wkrótce włożą długą suknię, najwięcej upowszechniona i ulubiona jest dziś forma princesse, zarówno do codziennego jak i do strojniejszego ubrania. Formę tę zastosowaną do różnego wieku i wzrostu podawaliśmy w roku zeszłym. Ryc. 1—2 przedstawia taką sukienkę z przodu skośnie zapinaną, z dodanemi przy szwach wypustkami grubym sznureczkiem, z gładkiemi plecami zręcznie przewiązanemi szarfą. Na modelu brązowa sukienka w deseń adamaszkowy, miała wypustki, szarfy i plisowanie z gładkiego materyału; gładka zaś wełniana, szafirowa przyozdobiona była plisowaniem, wypustkami i szarfami jedwabnemi.

N. 3. Ubranie dla chłopczyka, złożone z majtek, kamizelki i żakiety z ciemnego bukskingu, klapy tylko podszyte ma czarnym jedwabnym repsem, a brzegi, mankiety i klapy przy kieszonkach, przeszyte stębnówką.

N. 4 oraz ryc. 1 i 2 w N. 4 Tygodnika mód. Ubranie wizytowe.



N. 1—2. Ubranie dla dziewczynki. — N. 3. Ubranie dla chłopca. — N. 4. Ubranie domowe.

Ubranie składa się ze spódnicy ciemno-brązowej jedwabnej i z vêtement formą princesse, z materyału wełnianego w takimże kolorze, przerabianego jaśniejszemi nitkami jedwabnemi. Ryc. 1 w N. 4 podaje zmniejszony rysunek i miarę vêtement, a ryc. 12 przedstawia przód sukni i spódnicę z odmiennym garnirunkiem. Na obydwu wzorach vêtement przybrane jest kokardami ze wstążki i oszyte frendzlą kuleczkową wełnianą, 10 cent. szeroką, która jednak zastąpić może plisowanie z materyi. Boczki vêtement tylko do długości kisasowego stanika zeszyte z przodami i plecami, dalej podszyte są materyą i nakształt końców szarfy przewiązane; tylne bryty proste, do przodów przyszyte, przy szwie środkowym i w górze przyfałdowane podług znaków. Na kokardy w miejsce wstążki użyć można podwójnych pasków materyi, 6 i 14 cent. szerokich.

N. 5. Szlak do chustki od nosa. Koronka irlandzka i cerowanie na tiulu.

Rodzaje tasiemeczki koronkowej i ściegi kratek dokładnie wskazane są na wzorze naturalnej wielkości. Medaljony w rogach cerowane są na cienkim, prawdziwym tiulu, nićmi koronkowemi a kontury obwodzi się grubszą bawełną i obrabia ściegiem sznureczkowym bawełną od haftu. Po zupełnem wykończeniu szlaku przydzierguje się w środek tło batystowe.

N. 6—7. Poduszka pod głowę. Robota na drutach ściegiem patentowym. Rzucik wyszywany na wierzchu.

N. 8—10. Futeral na rękawiczki lub krawatki.

Kwadrat trzymający 30 cent., złożony z trzech pasków 9 cent. szerokich cienkiego płótna, i dwóch 4 cent. szerokich wstawek robotą zadziergiwaną macramé albo szydełkową, podszywa się bawełnianym purpurowym atłasem i zapina w środku od spodu na guziczki, albo wiąże na kokardy z wązkiej wstążki. Na środkowym pasie płótna haftuje się bawełną białą lub właściwych kolorów, herb albo litery; na pasach brzeżnych haft biały i pąsowy odrobić podług wzoru N. 8. Brzegi oszyć szlaczkiem wązkim szydełkowym lub *macramé*, którego wzór załącza ryc. 10.

N. 1. Część deseniu do ryc. 59 w N. 4 Tygodnika.

N. 2. Kasetka do szycia. Robota fantazyjna.

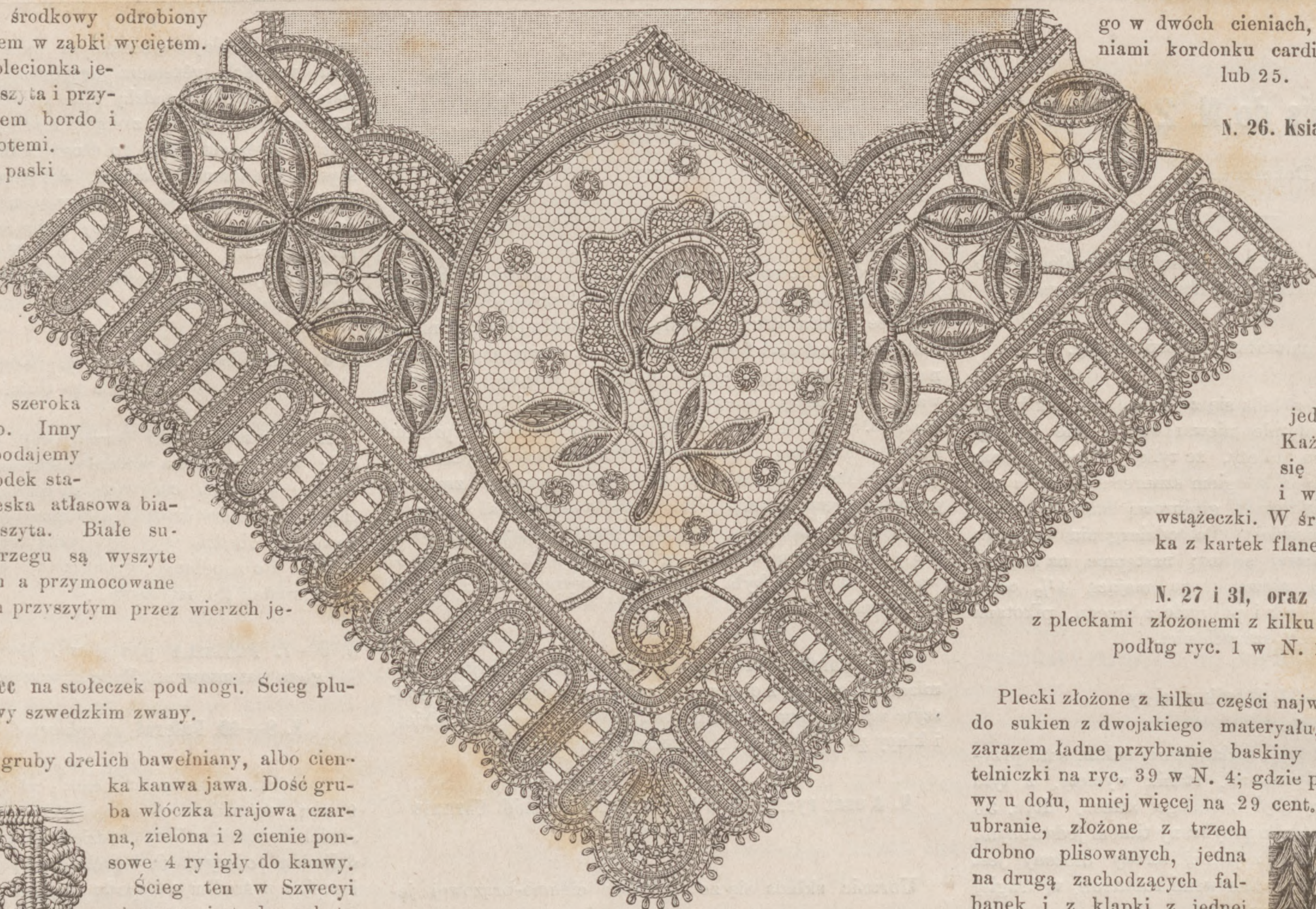
Cztery ściany kasetki $6 \frac{3}{4}$ cent. długie a $4 \frac{1}{2}$ cent. szerokie, przykrawa się z kanwy skórzanej żółtawo orzechowego koloru i wyszywa podług wzoru, filozelą fijołkową, ściegiem smyrneńskim i długim. Spód i wierzch kasetki stanowią ścianki trzymaj ce $4 \frac{1}{2}$ cent. w kwadrat, z których dolna pozostaje bez haftu, na zwierzchniej zaś daje się w koło wązki szlaczek, a na środku małą poduszeczkę z fijołkowego atlasu. Następnie pod każdą ściankę podkłada się kawałek cienkiej lecz sztywnej tektury, pokryty z obydwóch stron fijołkowym atlasem. Tekturki te są rzadkim ściegiem przydziergane filozelą do brzegów kanwy; tak wykończone części zeszywa się z wierzchu filozelą (zajmując na ściegi dziergania,) wieczko jest jak widzimy tylko z jednej strony luźno przyszyte, a zewnątrz są przyszyte kawałki flaneli do wkładania igieł. Do zamykania służy elastyka i maleńki guziczek.

N. 13—15. Postument do zegarka, w kształcie krzesła składanego. Haft na suknie.

Postument roboty snycerskiej jest z ciemnego drzewa; lekko wysłana poduszka w siedzeniu pokryta atłasem bordo.

Ryc. 14 przedstawia w naturalnej wielkości część de-

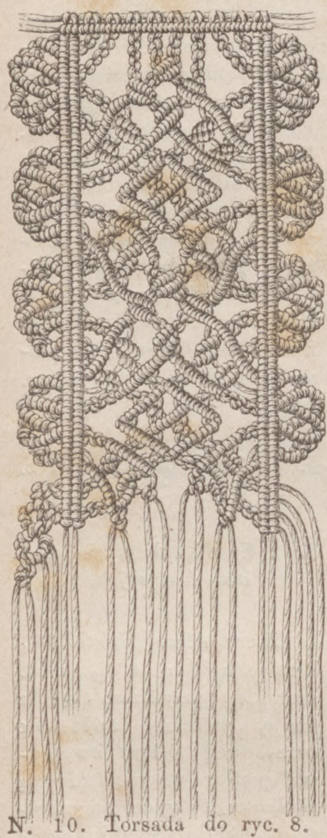
seniu, którego pas środkowy odrobiony jest na suknie białem w ząbki wyciętem. Środek pasa zdobi plecionka jedwabna niebieska wyszyta i przymocowana kordonkiem bordo i małemi ściegami złotemi. Z brzegów dodane są paski sukna popielatego wyszyte ściegiem cierniowym, a przymocowane do białego, perełkami złotemi. Podszewka wystająca z brzegów jest z atłasu bordo, a frendzla 3 cent., szeroka z kordonku białego. Inny szlak odpowiedni podajemy na ryc. 15; tu środek stanowi wstążka niebieska atłasowa białym kordonkiem wyszyta. Białe sukienne paski z brzegu są wyszyte kordonkiem różowym a przymocowane sznureczkiem złotym przyszytym przez wierzch jedwabiem czarnym.



N. 5. Szlak do chustki od nosa.

N. 6—20. Pokrowiec na stołeczek pod nogi. Ścieg pluszowy szwedzkim zwany.

Materyał: bardzo gruby drelich bawełniany, albo cienka kanwa jawa. Dość gruba włóczka krajowa czarna, zielona i 2 cienie ponsowe 4 ry igły do kanwy. Ścieg ten w Szwecyi używany jest do roboty dywanów naśladujących miękkie kosztowne dywany Smyrneńskie, odrabia się na grubym i rzadkim drelichu bawełnianym albo na bawełnianej kanwie Jawa których próbki naturalnej grubości widzimy na ryc. 18 i 19. Każden deseń do roboty krzyżowej może być użyty, a zwłaszcza arabeskowy o nie zbyt licznej mięszaninie kolorów. Robotę wykonywa się w krosnach rzędami prostemi poprzecznemi; igieł trzeba mieć tyle ile kolorów włóczki. Każden kolor nawłóczy się potrójnie a nitki przeciąga równo w środku we dwoje, ażeby odrazu odrabiać pentelki poszóstne 2 do 2 1/2 cent. długie. Będące na równej linii ściegi jednego koloru, odrabia się w jednym ciągu, bez przecinania; przy zmianie kolorów nitkę przecina się równo z pentelkami, które przecina się po skończeniu rzędu. Odstępy między ściegami i rzędami wyraźnie wskazane są na próbce N. 19, lewą zaś stronę ściegów wskazuje ryc. 17—18. Na tło lepszy jest drelich dywanowy niż kanwa, na której dla trwałości trzeba ściegi mocować z lewej strony nicią jak to wskazujemy na ryc. 18. Zawsze dla trwałości trzeba wykończoną robotę posmarować z lewej strony gumą lub rzadkim klejem i podszyć płótnem. Ryc. 16 przedstawia wykończony i równo przystrzyżony pokrowiec na ławeczkę, urządzony do przywiązania na tasiemki.



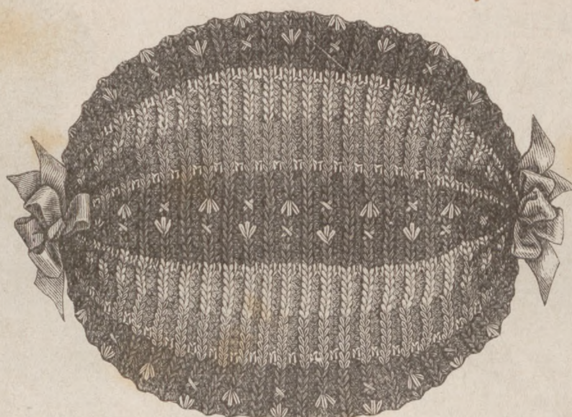
N. 10. Torsada do ryc. 8. Robota wiązana macramé.

N. 21. Deseń do ryc. 57 w N. 4 Tygodnika.

N. 22. Szlaczek do bielizny.

N. 23—24. Szyfonierka ozdobiona wyszyciem na suknie.

Rzadko pleciona szyfonierka robotą koszykarską ma jedną ścianę gładką a drugą zewnętrzną, wypukłą, przyozdobioną przez środek bufą z kawałka repsu cardinal, długiego 60 a szerokiego 5 1/2 centymetra, na którą zachodzą ząbki z sukna perłowego lub jasno-popielate-



N. 6. Poduszka włóczkowa pod głowę, zastępująca wałek. Robota na drutach. Patrz ryc. 7.



N. 8. Torebka na rękawiczki, krawaty i t. p. Wyszycie na płótnie i robota wiązana macramé. Patrz ryc 9 i 10.



N. 9. Wyszycie na płótnie i szlaczek brzeżny robotą wiązaną do ryc. 8.

go w dwóch cieniach, wyszyte dwoma cieniami kordonku cardinal, podług próbki 24 lub 25.

N. 26. Książeczka do igieł i szpilek. Haft albo malowanie na kanwie papierowej.

Bukiet z fijołków i liści odrabia się jedwabiami do cieniu albo maluje farbami, szlaczek w koło wyszywa się jedwabiem fijołkowym. Każdą połówkę podszywa się materyą fijołkową i wiąże na kokardki ze wstążeczki. W środku dodana wstążeczka z kartek flanelowych.

N. 27 i 31, oraz ryc. 39 w N. 4. Stanik z pleckami złożonemi z kilku części. Krój stanika podług ryc. 1 w N. 1 Tygodnika.

Plecki złożone z kilku części najwięcej używane bywają do sukien z dwojakiego materyału, którego połączenie zarazem ładne przybranie baskiny plecków zobaczą czytelniczki na ryc. 39 w N. 4; gdzie pomiędzy szew środkowy u dołu, mniej więcej na 29 cent. długości dodane jest ubranie, złożone z trzech drobno plisowanych, jedna na drugą zachodzących falbanek i z klapki z jednej strony dodanej. Ryc. 27 przedstawia przód stanika odrobionego z materyału adamaszkowego i gładkiego, z długim szalowym kołnierzem i klapkami. Sposób krajania przodów i części kamizelkowej, zapinanej pod szyję na guziki, wskazuje ryc. 31. Klapki w ząb śpiczasty zakończone, zapinają się na haftki przyszyte od spodu, a zwierzchu ozdobione są kokardami.



N. 7. Część roboty do poduszki ryc. 6.

N. 28. Chusteczka czarna koronkowa.

Model nie potrzebuje opisu, urządza się bowiem na prostym kawałku sztywnego tiulu, ze wstawki, koronki i frendzli czarnej, a do szyi podgarnirowywa plisowaną krepą lub muślinem. W tiulu zakłada się zaszewki podług figury.

N. 29—30. Kosz z lambrekinami do robót.

Złocony, 44 cent. wysoki postument, podtrzymuje 3 białe lakierowane koszyczki, z których największy ma 74, średni 57, a górny 40 cent. obwodu. Koszyczki te przeznaczone do różnych przyborów do robót, ozdobione są lambrekinami, haftowanemi na jasnem atłasie (np. słomkowy lub blado-różowym) kordonkami do cieniu. Jeden ząb lambrekiny, podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 30. Pod lambrekiny daje się muślinową podszewkę, a brzegi oszywa z frywolitek i słupków szydełkowych, które do atłasu słomkowego są różowe a do blado-różowego błękitne. W środku koszyczki ogarnirowane są riuszą ze wstążki atłasowej, tego co ząbki koloru.

N. 32. Ubranie wizytowe.

Strojne to ubranie odrobione z czarnego aksamitu i repsu, odznacza się głównie niezwykłem urządzeniem stanika. Jest on niby podwójny, spodni długi i gładki repsowy, z przodu na guziczki zapinany, zwierzchni zaś aksamitny, z przodu krótszy i niedochodzący, z tyłu w kształcie fraka prze-

dłużony, którego poły od wcięcia stanu są nie zeszyte, tylko kokardami złączone, brzegi zaś drobnem repsowem plisowaniem oszyte. Stanik ten można podług kirasowej formy dopasować, tak żeby materya tylko trochę pod aksamit zachodziła. Rękawy gładkie repsowe, aksamitnym mankietem zakończone. Przód spódnicy aksamitny w kształcie fartucha, bryty tylne repsowe z trenem.

N. 33 Strojna suknia formą princesse z tunikowem przybraniem spódnicy.

*Z dwóch rodzajów albo dwóch odcieni materyału odrobiona suknia formą princesse robi się na muślinowej podszewce, do której od dołu spódnicy, można dać tylko listwę jedwabną, do takowej przyczepić szeroką w rurki układaną falbanę, a nad nią przyszyć plisowanie. Nad garnirunkiem przednie i boczne bryty spódnicy, są w poprzeczne fałdy ułożone z obydwóch rodzajów materyału. Tylne zaś 60 cent. szerokie części tuniki krają się w jednym ciągu z plecami i są dopełnione brytem spódnicy.

Opis do N. 4.

N. 1 i 12. Opis przy rycinie 4 w N-rze 3.

N. 2 i 3. Serwetka wyszywana na tiulu.

Odpowiednia do mebli, do przykrycia koszyczka do robót, lub na mały stoliczek, wyszywa się na grubym grosbotowym tiulu albo na cienkim jeżli będzie podszyta kolorową materyą. Rycina 13 przedstawia wzór wyszycia pasów bocznych, środkowy pas serwetki składa się z trzech rzędów gwiazdek. Wzór frendzli wiązanej otaczającej brzegi podaliśmy w roku przyszłym.

N. 12. Kasetka z przyborami do szycia.

N. 4—5. Dwie krawatki.

Krawatki tiulowe przewijane lub podwleczone kolorową wstążką weszły teraz w użycie i są bardzo efektowne. Tiul może być biały, ivoire, granatowy cardinal lub t. p. wyszyty kordonkiem lub filozelą, wstążkę zaś dobiera się w odpowiednim kolorze albo w bardzo odróżniającym się cieniu. Na ryc. 4 widzimy tiul czarny, założony w szeroki obręb przeszyty trzy razy grubym białym kordonkiem; końce ozdobione gałązkami z medaljonowej tasiemeczki; frendzla i wstążka koloru cardinal. Rycina 5 przedstawia krawatkę z granatowego tiulu, oszytą takąż koronką 4 cent. szeroką; końce ścięte w ząb wywodzone pąsowym jedwabiem; podwleczenie stanowi wstążka pąsowa. W kokardę wcięte złote szpilki z łańcuszkiem.

N. 6—10. Serweta z kolorowem wyszyciem.

Serwety z kolorowemi wyszywanemi szlakami do nakrycia stołu przy śniadaniu lub wieczornej herbacie, bardzo są używane. Po większej części szlaki bywają tkane fabrycznie ale daleko ozdobniejsze są wyszyte ręcznie kolorową bawełną, jedwabiem lub cienką włóczką, w kolorze np. pąsowym i szafirowym, szafirowym i żółtym i. t. p. W przeszłym roku zamieszczaliśmy kilkakrotnie wzory i opisy różnych ściegów i deseni odpowiednich na ten cel, trudno byłoby dla nowych prenumeratorek powtarzać całe opisy, powiemy tylko że zarówno ścieg krzyżowy, ścieg jednakowy na obie strony złożony z kwadracików i krzyżyków i nowy rodzaj ściegu przewłóczonego poprzecznie, mogą być tu zastosowane.

Ostatni ten rodzaj ściegu wskazujemy na ryc. 9—10, zaś deseń wyszycia podaje ryc. 8, najłatwiej wyszyć go na kanwie Jawa lub płótnie kanwowym, gdyż można obliczać deseń podług nitek tła. Ściegi przewłóczone poprzecznie z prawej strony tworzą deseń bardzo wybitny, z lewej zaś (jak to widać na ryc. 10) deseń jest bardziej nikły bo krótszemi odznaczony ściegami. Na ryc. 7 załączamy wzór szlaku z frendzlą, wyszytego ściegiem poprzecznym, bawełną turecką szafirową. której grubość musi być odpowiednia do nitek tła.

N. 11. Suknia zdobna bufami.

Ubranie to może być odszyte z kolorowego muślinu lub też chcąc zużytkować podniszczoną suknię jedwabną można przysłonić ją tego rodzaju tuniką, bluzką i bufami z białego muślinu czy tarlatanu. Bluzka zszyta jest ze wstawek koronkowych podwleczonych materyą i z bufek marszczonych, szerszych u góry, zwężonych u dołu do 4 cent. Przód tunik składa się z buf u dołu 15 w górze po 5 cent. szerokich; tylne bryty tworzą dwa zachodzące na siebie trójkąty i wymagają dwóch prostych brytów z których spodni liczy 75 cent. szerokości a 86 długości. Bryty te z jednego boku są wysoko podpięte, z drugiego przyszyte gładko jak to ryc. 11 wskazuje. Przybranie dolnych brzegów tuniki stanowi koronka 10 cent. szeroka podszyta lub nie drobniutkiem plisowaniem, wszywka 3 cent. podwleczona materyą, mająca za nagłówek muślinową riuszę 3 cent. szeroką. Na spódnicy naszyte dwie falbany 22 i 18 cent. szerokie, ozdobione bufami 5 cent. szerokiemi przyszytemi z brzegów wszywką podwleczoną materyą. Kokardy z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 13--18. Koronki i wszywki wywodzone na tiulu. Naśladow nie malinowej koronki.

Różne rodzaje wywodzenia na tiulu są już od dawna znane czytelniczkom, gdyż ciągle zamieszczamy w Tygodniku nowe wzory tej roboty; dziś podaliśmy wzory koronek i wszywek naśladujących malinową koronkę. Obrzucenie brzegów dopełnia się podług ryc. 18, obrabianie dziurek wskazuje ryc. 17; obie próbki dla dokładności przedstawione są na grubszym tiulu. Dziurki obrzucają się (tak jak w hafcie angielskim najpierw cieńszą nitką a następnie obwodzą grubszą; dla równości trzeba rozciągnąć je wykłu aczką.

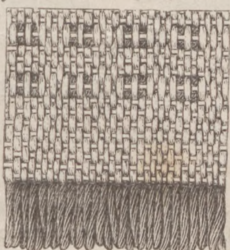
N. 19—20. Kapelusze filcowe dla młodych panienek.

Rycina 19 przedstawia toczek granatowy, z płasko odwinięetem rondkiem pokrytem pluszem; przyozdobienie stanowi skos aksamitny i ponsowe skrzydełko. Na ryc. 20 widzimy kapelusz z wysoką śpiczastą główką i płaskiem rondem przysłoniętem czarnem strusiem piórem. Główkę otacza gruby jedwabny sznur spięty pąsową rozetą z kwastami.

N. 21—22. Kapelusze filcowe dla mężatek.

Kapelusz przedstawiony na ryc. 11 ma wysoką główkę z brązowego filcu a płaskie z przodu nad czołem podniesione rondko z ciemniejszego pluszu. Wstążka brązowa zdobiąca główkę liczy 8 cent. szerokości. Dyamentowe podpięcie składa się z brązowego aksamitu i kwiatów zwierzchu zaś przypięte jest strusie pióro.

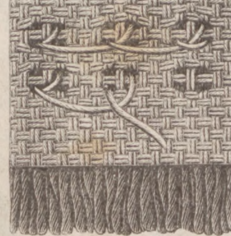
Główka kapelusza przedstawionego na ryc. 22 przyozdobiona skosem popielatego aksamitu, 12 cent. szerokim i 11 cent. szerokim skosem pąsowego repsu z którego upięta jest suta kokarda. Dwa wielkie cieniowane strusie pióra dopełniają przybrania.



N. 17. Wykonanie ściegu pluszowego. Strona lewa. Do ryc. 16.



N. 11. Część deseniu do ryc. 59 w N-rze 4.



N. 18. Wykonanie ściegu pluszowego na kanwie Jawa. Strona lewa Do ryc. 16.



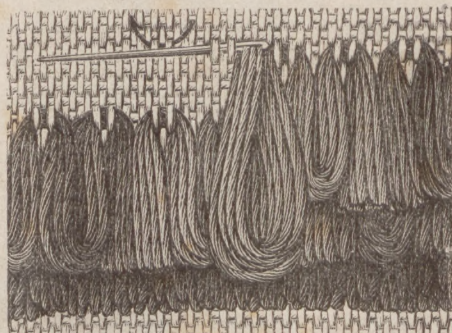
N. 13. Postumencik do zegarka. Patrz ryc. 14—15.



N. 16. Pokrycie na podnóżek. Szwedzki ścieg pluszowy. Patrz ryc. 17—19.



N. 22. Ząbki z mignardisse.



N. 19. Wykonanie ściegu pluszowego. Strona prawa.

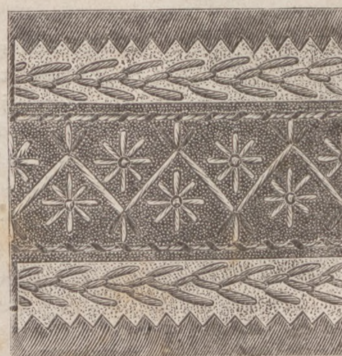


czarny, 1 i 2 cień bronzowy, 3 i 4 najja. 5 bronz. 1 i 2 zielony jasny zielony jas. żółty
2 i 2 ponsowy, 1, niebieski, 2 i 3 i popielaty biały.

N. 21. Deseń na dywanik ryc. 57, w N-rze 4.



N. 14. Szlaczek do ryc. 13.



N. 15. Szlaczek do ryc. 13.



czarny, zielony, ciemny, jasno-ponsowy

N. 20. Deseń na ścieg pluszowy ryc. 16.

N. 23—24. **Dwa** balowe ubranka.

Odpowiednie do modnego obecnie czesania głowy dwa lekkie ubranka składają się z kokard z bardzo długiemi końcami i z kwiatów. Dla mężatek trochę starszych łatwo zmienić je na poważniejsze dodaniem barbki koronkowej. Ubranko załączone na ryc. 23 przypiąć można podług ryc. 36. Wstążka liczy 3 cent. szerokości.

N. 23 Koszyczek ozdobiony haftem. Patrz ryc. 22—25.

N. 25. **Chustka** jedwabna ozdobiona łańcuszkowem wyszyciem.

Chusteczka jedwabna koloru piaskowego licząca 41 cent. w kwadrat ma w około brzegów wyszyty szlak ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem ponsowym i szafirowym. Monogram wyznaczony również temi kolorami.



N. 27. Stanik z plecami złożonemi z kilku części. Patrz ryc. 31 tudzież ryc. 39 w N-rze 4.

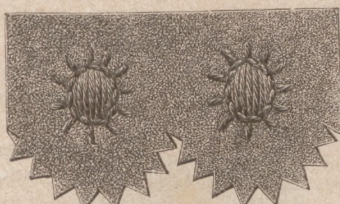


N. 26. Książeczka do igieł.

N. 28. Chusteczka z czarnej koronki.

N. 26. **Kołnierzyk** hiszpański z tiulu, koronki i wstążki.

Łatwo go uszyć podług ryciny 26 i zrobić krócej lub dłużej otwartym odpowiednio do gustu; układa on się z prostego kawałka tiulu oszytego wszywką i koronką (razem 22 cent. szerokości); co cztery fałdki dany gładki odstęp. Wstążka liczy 5—6 cent. szerokości.



N. 24. Ząbki do ryc. 32.

N. 27. **Żabot** z koronki, muślinu i wstążki.

Dwa kawałki kolorowej wstążki po 12 cent. długie a 7 szerokie stanowią podstawę żabota, na której przytwierdzają się gwiazdki składane ze skosu muślinu 2 cent. szerokiego zwiniętego we troje i składanego w ząbki niewidocznie spajane igłą; 12 ząbków tworzy większą, 8 mniejszą gwiazdkę. Od spodu gwiazdek na wstążce podszyta jest walansjenka 3 cent. szeroka składana w fałdki.



N. 29. Kosz do robót ozdobiony lambrekinami. Patrz ryc. 30.



N. 30. Lambrekina do ryc. 29.



N. 31. Wskazanie kroju przodów stanika do ryc. 27.



N. 32. Ubranie wizytowe.

N. 28—29. **Dwa** fartuszki.

Uszyte z czarnego jedwabnego repsu, przecięte w kliny liczą po 66 cent. długości, 71 cent. szerokości u dołu a 26 w górze.

Na ryc. 28 widzimy fartuszek ozdobiony irlandzką koronką naszytego w zęby, nad nią dana w rurki ułożona falbaneczka, przytwierdzona torsadką jedwabną 3 cent. szeroką. Kieszonka 11 cent. długa a 8 szeroka, przysłonięta do połowy koronką, falbanką i torsadką a u góry zakończona kokardką z repsowej wstążki; w pasie dany sznur jedwabny do zapięcia. Fartuszek przedstawiony na ryc. 29 zakończony jest u dołu dwoma plisowanemi falbankami 7 i 3 ½ cent. szerokiemi, przyszytemi aksamitną plisą 3 cent. szeroką, która z boków obejmuje brzegi fartuszka. Kieszonka spiczasto ścięta u dołu, 12 cent. długa a 9 szeroka, pokryta plisowaniem z materyi ozdobiona jest aksamitną klapką i falbanką. Do wiązania sznur z kwastami.

N. 25. Ząbki do ryc. 23.

N. 30—31. **Dwa** wycięte staniki z przybraniem nakształt berty.

N. 30. **Fałdowany** staniczek do paska, z przybraniem naszytem okrągło.

Stanik taki jest bardzo korzystny dla młodych osób mających figurę szczupłą; na dobrze dopasowanej gładkiej podszewce przody i plecy składane są w płaskie fałdy, schodzące się do środka. Przybranie składa się z falbaneczek jedwabnych i illuzjowych przyszytych riuszą; na ramieniu gałązka kwiatów i kokarda.

(d. n.)



N. 33. Suknia princesse z tunikowem przybraniem spódnicy.